MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 38. (37 skonfiskowany) WARSZAWA, 2 WRZEŚNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

PAŃSTWO NARODOWE CZY DWUNARODOWE

JAKO PROTEST przeciw szerzonej dziś ideologji „państwowej" słyszy się często zdanie, że ideologja państwowa, chcąca być przeciwstawieniem ideologji narodowej, może być tylko ideologją państwa nienarodowego, a więc w naszych warunkach (nie mając dynastji, nie możemy być państwem dynastycznem!) — narodowościowego. Słyszy się również o „Judeo-Polsce" czy „Judosławji" — jako przeciwstawieniu Polski narodowej.

90 procent tych, co podobne zdania wygłaszają, traktuje je jednak tylko jako pewnego rodzaju ciosy djalektyczne, mające pognębić głoszącego „ideologję państwową" przeciwnika — lecz w istocie nie uważa, by można było traktować perspektywy „Polski narodowościowej", czy tembardziej „Judeo-Polski" na serjo.

A tymczasem rzecz jest warta zastanowienia gruntowniejszego: czy możliwe jest, czy też niemożliwe ukształtowanie się państwa polskiego jako formacji politycznej innej, niż państwo narodowe?

Przypatrzmy się rozmaitym typom państw nienarodowych („narodowościowych").

Zauważymy odrazu, że dzielą się one na dwie wielkie grupy.

Typowym przedstawicielem pierwszej z tych grup jest przedwojenna Austrja. Nie był to bynajmniej związek różnych narodowości: suwerenem w monarchji Habsburgów nie były bynajmniej te narodowości — lecz była dynastja. Dynastja ta musiała, rzecz prosta, rządy swe na czemś opierać; nie mogąc się oprzeć na jednej narodowości (bo żadna narodowość w monarchji nie była na to dość silna), ani na jednym jakimś stanie, klasie społecznej lub t. p. (bo w społecznej strukturze państwa austrjackiego nie było żadnego takiego, zdatnego do politycznej hegemonji czynnika) — opierała się na narodowościach wielu. Posiłkując się systemem to udzielania tej lub owej narodowości przywileju sprawowania rządów na poszczególnych częściach terytorjum monarchji (np. Polakom w Galicji, — nie mówiąc już o Węgrach na Węgrzech i Niemcach w krajach austrjackich), to znów wygrywania tarć narodowościowych (między Polakami i Rusinami w Galicji, Polakami, Niemcami i Czechami na Śląsku, Niemcami i Czechami w Czechach i na Morawach, Niemcami, Rusinami i Rumunami na Bukowinie, Włochami, Kroatami, Słoweńcami i Niemcami w krajach Illiryjskich i t. d.) i stosowania zasady *„divide et impera"* — osiągała monarchja rakuska stan rzeczy, w którym mimo płynności stosunków, przewaga Wiednia i dynastji była faktem stałym. Nie było tam „narodów", — podmiotów władzy politycznej i uczestników politycznej suwerenności; były „narodowości", — przedmioty politycznej gry. Przywileje i wolności poszczególnych składników narodowościowych monarchji nie wynikały z faktu ich suwerenności — lecz stanowiły rekompensatę i zapłatę, udzielaną wzamian za świadczone istotnemu suwerenowi — dynastji — polityczne usługi.

Inny całkiem typ życia państwowego przedstawiają państwa takie, jak Szwajcarja, Belgja, Finlandja, Kanada, Unja Południowo-Afrykańska. Suwerenami są tam narody. Są to jakby państwa narodowe — w których władzę suwerenną sprawuje nie jeden naród, lecz dwa albo trzy: w Szwajcarji Szwajcarzy niemieccy, francuscy i włoscy,

w Belgji Flamandowie i Walonowie, w Finlandji Finnowie i finlandzcy Szwedzi, w Kanadzie Anglosasi i Franko-Kanadyjczycy, w Unji Południowo-Afrykańskiej Anglosasi i Burzy.

Odrębne stanowisko zajmuje Czechosłowacja: jest ona ciekawą formacją polityczną, łączącą w sobie cechy trzech typów: państwa narodowego (można ją w pewnym stopniu uważać za państwo narodowe narodu czeskiego), państwa dwunarodowego (unja Czechów i Słowaków) i państwa narodowościowego (naród-suweren, t. j. Czesi, wzgl. Czechosłowacy w podobny sposób radzą sobie z nieczeskiemi narodowościami w republice, jak to czyniła ze swemi narodowościami Austrja).

Czy możliwe jest, by Polska stała się państwem, należącem do jednego z tych typów? Odrzućmy przykład Czechosłowacji, jako całkiem specyficzny i trudny do powtórzenia się gdziekolwiek indziej.

Czy może się Polska upodobnić do Austrji? Któżby miał w Polsce sprawować w takim razie władzę suwerenną? Dynastja? Nie posiadamy jej. Partja rządząca? Wydaje się wątpliwem, czy nawet partja o tak wyrazistej fizjognomji, jak partja komunistyczna w Rosji, będzie się mogła trwale utrzymać, jako czynnik suwerenny, przeciwstawny narodowi. Cóż tu mówić o naszej sanacji! — A poza sanacją, liczniejszego obozu, któryby się przeciwstawiał narodowi, niema u nas. Kasta, klasa, kościół? Te możliwości w naszych warunkach nie wchodzą w rachubę. Możemy odpowiedzieć śmiało: dokładne powtórzenie się Austrji nie jest w naszych warunkach możliwe. Możliwe jest coprawda pewne odchylenie w kierunku narodowościowym od zasady państwa narodowego: naród polski, jako suweren, mógłby prowadzić podobną politykę wobec narodowości niepolskich, jaką wobec swych „mniejszości" prowadzą Czesi. Ale to nie byłby już czysty typ austrjacki. Toby już stanowiło ogniwo przejściowe do typu państwa dwu — lub kilkonarodowego.

Zatrzymajmy się teraz na tym drugim typie.

Czy Polska może być państwem dwu — lub kilkonarodowem? Państwem, w którem kilka narodów dzieliłoby się suwerennością?

Gdy przypatrzymy się państwom dwu — lub trójnarodowym, stwierdzimy że rozpadają się one na dwa pod-typy.

Jedne z nich, to są związki prowincyj (nieraz posiadających cechy prawie samodzielnych państewek), które posiadają wyraźne cechy narodowe. Taka np. Szwajcarja jest tylko jako związek państwem różnonarodowem; poszczególne składające się na nią kantony są przeważnie państewkami o cechach wyraźnie narodowych. Zurych, Lucerna, Szwyc, Aargau, Solothurn, Bazylea, Glarus, Obwalden, Nidwalden, Zug, Appenzell jeden i drugi, Thurgau, St. Gallen, Szafhuza to są kantony o obliczu czysto niemieckiem, — nawet kanton Gryzonji (Graubünden), mimo swej mieszanej narodowo ludności (Niemcy, Reto-Romanie, Włosi), jest państewkiem niemieckiem. Ticino — to państewko włoskie. Genewa, Vaud i Neuchâtel to państewka francuskie. Jedynie tylko Valais (Wallis), Fryburg i Bern mają naogół wyraźny charakter dwunarodowy: niemiecko-francuski. To samo jest w Belgji: gospodarzami w Walonji są Walonowie, gospodarzami we Flandrji są Flamandowie; prowincje te oddzielają się od siebie jak oliwa i woda. To samo jest w Kanadzie: stan Quebec, to państewko francuskie, stany Manitoba, Ontario, Saskatchewan, British-Columbia, Alberta, do pewnego stopnia też i Nowa Szkocja, to państewka o obliczu dość wyraźnie anglosaskiem; tylko Nowy Brunświk i Wyspa ś-go Edwarda mają wyraźny charakter dwunarodowy.

Drugi typ państw i krajów dwunarodowych— to kraje, w których obie narodowości czują się gospodarzami, czy też współgospodarzami całości państwowego terytorjum. — Trudno tu o lepszy przykład, niż Unja Południowo-Afrykańska, która jest państwem dwunarodowem, angielsko-burskiem, (liczna tam ludność kolorowa nie wchodzi politycznie w rachubę). Wszystkie cztery stany tej Unji są państewkami dwunarodowemi; wprawdzie w prowincji Natal Burzy stanowią tylko jedną piątą ogółu białej ludności, a w Oranje Vrijstaat naodwrót, Burzy stanowią 90% ogółu ludności i tylko w Transwaalu i Prowincji Przylądkowej panuje między siłą liczebną obu grup większa równowaga, — ale niema na całym obszarze Unji ani jednego zakątka, gdzieby nie było choć małej garstki zarówno Anglików, jak Burów i gdzieby zarówno jedni, jak drudzy nie czuli się współgospodarzami, oraz nie uważali za uprawnionych i obowiązanych do udziału w walce o hegemonję. Podobnie jest w Finlandji, gdzie ludność szwedzka, pomimo swej słabej liczebności, czuje się współgospodarzem całego kraju, a nietylko skrawka wybrzeża, gdzie liczebnie przeważa.

Czy są u nas narodowości — poza narodem polskim — które byłyby bądź to panami na części terytorjum państwa, bądź to czuły się współgospodarzami na całym jego obszarze?

Odrzućmy odrazu Niemców i Białorusinów: znaczą oni zbyt mało, by warto się było nad ich rolą zastanawiać.

Zostają oprócz nas Polaków tylko Rusini i Żydzi.

Czy Rusini mają siły potemu, by uważać się za wszechwładnego pana części terytorjum Polski?

Nie mają! Nie panują w ani jednem mieście, a nawet nieco większem miasteczku. Nawet na wsi — wszędzie poprzetykani są pasmami ludnościowemi polskiemi. Ich terytorjum narodowo w Polsce nie tworzy zwartego kompleksu, — rozbite jest na dwie połowy przez długi Lwowsko-Tarnopolski półwysep o strukturze narodowej wybitnie mieszanej. Gdyby nawet obszar, zamieszkany przez Rusinów w Polsce tworzył niepodległe państwo (o ile w istniejących warunkach geopolitycznych wogóle byłoby to kiedykolwiek możliwe) — to państwo to jedynie z wielkim trudem mogłoby się uporać z trudnościami narodowościowemi i wywalczyć sobie cechę państwa narodowego. Tembardziej nierealna jest ewentualność, by terytorjum narodowe ruskie w Polsce mogło zdobyć sobie w granicach państwa polskiego taką wagę polityczną, by swoją obecnością mogło całemu temu państwu nadać cechę państwa dwunarodowego.

A żydzi?

Żydzi nie mają w Polsce swego terytorjum,— to prawda, (Mają zato szereg ważnych, pojedynczych punktów: stanowią większość ludności w szeregu dużych miast — mianowicie w Pińsku, Brze-

ściu, Grodnie, Równem, Łucku, Kowlu, Chełmie, Będzinie i Stanisławowie, nie mówiąc o miastach mniejszych. Odgrywają pozatem dużą rolę na rozległem terytorjum województwa Poleskiego i ziem przyległych, — stanowiąc tam żywioł, mający stanowczo największą tam wagę polityczną). Są zato wszędzie obecni, — Poznańskiego i Pomorza nie wyłączając. (Że nietylko tam są, ale mają ambicję dokonywania tam podbojów, świadczy wiec żydowski w Poznaniu, na którym wznoszono okrzyki *„Es łebe di cukinftyge jidysze sztat Pojzen")*. Że czują się współgospodarzami kraju — to wiemy z ich własnych ust: często nam przypominają, że pierwsi żydzi byli w Polsce już tysiąc lat temu, a więc „historja narodu polskiego" i „historja żydów w Polsce" mają równe prawo dawności. Że mają ambicję odgrywania wielkiej, lub nawet przewodniej roli w życiu politycznem, gospodarczem, nawet umysłowem i duchowem całej Polski, — że naprzykład uważają się za powołanych do udzielania nam rad, jaki ma np. być nasz stosunek do kościoła katolickiego, a nawet uprawnionych do tego, by walczyć o kwestje, które są naszemi kwestjami najściślej wewnętrznemi (np. prawo małżeńskie dla katolików), — to wszyscy wiemy. Ambicje nigdy nie rodzą się bez jakiej takiej podstawy; jeśli takie są ambicje żydowskie w Polsce — to widać, że istnieją warunki, w których ambicje te mogły się zrodzić.

(Dok. nast.) JĘDRZEJ GIERTYCH

Z DZIEJÓW NASZEJ PRZEMIANY SPOŁECZNEJ: III

KSIĘSTWO - KRÓLESTWO

WOJNY NAPOLEOŃSKIE przyniosły nam częściowe wskrzeszenie państwa polskiego, które obcięte i przekształcone, przetrwało aż do roku 1831, a w dziejach naszych, mimo swego dosyć krótkiego trwania zaznaczyło się wcale wyraźnie i to, ogólnie biorąc, jako okres wysoce dodatni.

Ta nowa Polska, to godna spadkobierczyni epoki odrodzenia stanisławowskiego, — stanowi też ona jakby jej dalsze rozwinięcie i uzupełnienie po przerwie rozbiorowej, naród bowiem odzyskał możność samodzielnego kierowania swemi sprawami, i choć w ciasnych granicach miał tę możność udzieloną, to mimo to potrafił zorganizować wcale bujne narodowe życie. Z drugiej strony jednak nie stanowi ta Polska przywrócenia starej, stanisławowskiej, wręcz przeciwnie — jest ona dalszą jej likwidacją i odmienia tu nawet te rzeczy, których okres okupacji zaborczej, lata 1795 — 1807, nie naruszyły. Odmiany są duże i gwałtowne, ale niewszystkie dobrowolne, — naród przekształcał się ewolucyjnie, a wszelkie rewolucyjne przemiany narzucał mu obcy protektor, gdy chodzi o Księstwo, — Francja.

Zaczęło się od tego, że Napoleon, nazwawszy nowe państewko księstwem Warszawskiem, nie nadał mu dawnej, majowej konstytucji, (a z tą do Drezna, Małachowski i inni pojechali), ale swoją, ponoć na kolanie napisaną, zresztą wielkich zalet, — a razem z tą konstytucją i nowe prawo: kodeks napoleoński. Prawo francuskie i konstytucja pisana przez człowieka, który po za Rulhierem nic o Polsce nie czytał, nie były oczywiście dostosowane do naszych warunków, a skoro stały się ich prawnym regulatorem, więc zastane stosunki nagięły do siebie, a nie naodwrót. Wyjątkowo, gdy chodzi o prawo małżeńskie, ewolucja była inna i po długiem borykaniu się, potrzeby miejscowe zwyciężyły, i śluby cywilne się nie utrzymały.

Pominąwszy już jednak poszczególne paragrafy i kwestje, sam duch prawa i konstytucji przerabiał społeczeństwo, niosąc ze sobą demokratyzację i ducha równości, w czem miał zresztą poparcie w ideowych nastrojach wieku, kończył on w ten sposób dzieło czasów stanisławowskich, a kończąc je, stwarzał, tak jak i one, całkiem nową Polskę.

Prawa i przywileje stanów bardzo ograniczono. Właściwie ze szlachectwa pozostał sam tytuł honorowy, i odrębni posłowie dla posesjonatów szlacheckiego pochodzenia, gdyż „Statut organiczny o reprezentacji narodowej" z 1815 roku, właścicieli nieszlachtę zaliczał do gmin, pozbawiając udziału w sejmiku, a dając za to prawo wyboru deputowanego na zgromadzeniu gminnem. Sejmik to jedyny atrybut szlachecki uznany przez prawo, a i on nie był taki istotny, skoro prawo pozwalało sejmikom wybierać na posłów nieszlachtę, a zgromadzeniom szlachciców. Wobec ogromnej przewagi kulturalnej i materjalnej szlachty, która w owych czasach uosabiała w sobie całą prawie bez wyjątków elitę umysłową kraju, — nie było wypadku, by sejmik wybrał posłem mieszczanina, ale gminy często wybierały szlachtę. Jeżeli jednak szlachtę nową uznać za pewnego rodzaju herbowne mieszczaństwo, to dozwolona przez konstytucję wymiana reprezentantów rzeczywiście miała miejsce. Dobrze to ilustruje reprezentacja województwa krakowskiego (późniejsza gubernia kielecka) na sejmy z lat: 1825, 1830 i 1831.

I tak: z powiatu lelowskiego w latach 1825 i 1830 posłował Jan Szymczykiewicz, członek rodziny nobilitowanej w 1780 roku, i to jako szlachta siewierska, a więc lokalna tylko. Walenty Zwierkowski na sejmie z 1825 reprezentuje okrąg olkuski, jako deputowany z gmin, na następnym, sejmie szlachtę powiatu miechowskiego, aby na następnym znowu być deputowanym z Olkusza. Na sejmie z 1830 jeden Gostkowski — Józef jest posłem szlachty krakowskiej (Hebdów). a drugi — Michał deputowanym gmin kieleckich. Na ten sam sejm gminy miechowskie wybrały hrabiego Władysława Sołtyka. W radzie wojewódzkiej tegoż województwa kolegują jako radcy z powiatu miechowskiego: hrabia Antoni Lanckoroński i Józef Borkiewicz, świeżo nobilitowany w 1802 roku, porozbiorowy, austrjacki szlachcic; z radcą okręgu gminnego olkuskiego jest hrabia Jan Ledóchowski i t. d. A podobnie jest i w innych województwach.

Nietylko jednak prawo, niszczyło dawny podział stanowy — kasowało go wszechpotężne życie. Tak jak rozbiory przez sam swój fakt usunęły podstawę bytu Polsce szlachecko-magnackiej, taksamo bezustanne wojny napoleońskie, i wywołany niemi kryzys gospodarczy, zwłaszcza rolniczy, dokonywały ważnej przebudowy społecznej.

W epoce 1807 — 1831, a nawet troszeczkę wcześniej (pożyczki pruskich landszaftów) nastąpił jakby, nowy podział bogactw; większość majątków ziemskich zmieniła swoich właścicieli — wojna, długi, podatki nadszarpnęły wielu. Wyrosły za to nowe fortuny głównie wpływowych urzędników cudzoziemców, ale także i sprytnych swojaków — a wzbogacony, często nieuczciwie, „liwerant", stał się częstym tematem satyry (Niemcewicza: „Dwaj Sieciechowie"). Zwolna więc między *„beati possidentes"* wciskali się coraz gęściej nieszlachcice, a rodowita szlachta zmuszona była w miastach zarabiać na życie. Coraz więcej pieniądz, a nie herby ludzi odróżniał i istotniejsze zaczynały być już klasy-warstwy, jak stany.

Wojna zacierała różnice klasowe także i w inny sposób — przez wspólną ofiarę krwi w demokratycznie zorganizowanej armji francuskiej, bo jej autonomiczną cząstką było wojsko Księstwa. Do korpusu oficerskiego wchodził każdy zasłużony przez swe zdolności, czy rany, i oficerowie ubóstwianej armji stali się, bez względu na swe pochodzenie, klasą czołową w społeczeństwie. Gdy zaś wojna się skończyła, a etat wojska polskiego znacznie skurczył, większość dymisjowanych oficerów osiedliła się w Królestwie, nie chcąc opuszczać tej choć troszkę niepodległej Polski, wywalczonej całemi latami własnych cierpień. Zagęścili oni bardzo inteligencję miejską, która się coraz rozwija, bo większość ich nie mogła wrócić na wieś, z której przeważnie wyszli.

I miasto wygląda teraz inaczej, bo choć stanu trzeciego wciąż jeszcze jest mało, to znacznie powiększyły się kadry inteligencji urzędniczej, często obcego pochodzenia. O ile bowiem, państwo Stanisława Augusta stworzyło administrację, to jednak dalekie było od biurokracji, — obywatel miał otwarte szeroko pola działalności społecznej i służył państwu swą pomocą w licznych urzędach honorowych. Za Księstwa i Królestwa to się zmieniło; regułą stał się urzędnik płatny i wszechmoc urzędu państwowego; pole inicjatywy prywatnej znacznie zacieśniono, a skoro rozległego aparatu administracyjnego nie można znagła uruchomić i wyszkolić, więc zatrzymano wielu Niemców z służb obu państw zaborczych — Prus i Austrji, przybyło także trochę Francuzów i Sasów; wszyscy oni się wkrótce całkowicie spolonizowali.

Zmieniło się jednak miasto i pod innym jeszcze względem: — zaludnił je wyrzucony ze wsi proletarjat. Konstytucja bowiem napoleońska, z roku 1807, ogłosiła, że znosi niewolę, a ten doktrynerski artykuł, niedostosowany do warunków miejscowych, w praktyce oznaczał tylko zniesienie przypisania do gleby; o uwłaszczeniu, ani kasacie pańszczyzny nic nie mówiły konstytucja i kodeks. W ten sposób chłop zamiast dobrodziejstwa i poprawy warunków swego bytu, doznał tylko pogorszenia. Zburzono bowiem podstawę dotychczasowego porządku prawnego, nie zmieniając w niczem jego istoty. Działały więc nadal złe skutki dawnego systemu, a ustały dobre. Chłop zdany był teraz, na łaskę swego pana, a skoro liberalizm tryumfalnie wkraczający wówczas w życie gospodarcze, raz na zawsze wypędzał wszelki sentyment z ekonomji — porzucony został zwykłej grze interesów, arcyniekorzystnej dla niego. Rentowniej było bowiem właścicielowi uprawiać swój grunt samemu, przy pomocy płatnej choćby czeladzi (warunki ekonomiczne dostarczały tu tanich i licznych rąk roboczych) a liczbę pańszczyźniaków z ich lichą, chociaż darmową pracą, ograniczyć do minimum, a nawet i całkiem skasować — o ich zagrody powiększał się folwark. Zaczęły się więc teraz masowe „rumacje" i „urządzenia" włościan. Folwark rósł, bo większego obszaru wymagała hodowla owiec, bardzo teraz zyskowna z rozwijającym się przemysłem tkackim po miastach, a znowu rozwijający się po wsiach przemysł gorzelniany także wymaga większych przestrzeni pod uprawę ziemniaków.

Powstaje teraz to, czego nawet rozmiłowany w manufakturach wiek stanisławowski nie widział (wyjąwszy może fantastyczne pomysły Tyzenhauza) — miasto czysto przemysłowe. Zgierz, Żyrardów, Łódź, Dąbrowa, Zawiercie, wszystko to rośnie jak na drożdżach pod opiekuńczą ręką „księcia — ministra". Rząd troszczy się tylko o wielki (narazie jeszcze w zalążku) przemysł, i handel, na wieś baczniejszej uwagi się nie zwraca. Powtarza się jakby, na małą skalę, problemat Anglji z czasu, kiedy to: „owce zjadły chłopów". A z tą proletaryzacją wsi i pierwszemi oznakami krzywdzącego i niesłusznego podziału bogactw, któremu nikt nie chce przeciwdziałać, rodzi się kwestja włościańska (bo jeszcze nie robotnicza), której te czasy nie rozstrzygnęły. Mogła ostatecznie konstytucja majowa przemilczeć o chłopie i zbyć go tylko ogólnikami, bo był pewien system prawny, nienaruszony i dający obustronne, choć bynajmniej nierównomierne korzyści panu i chłopu, ale po akcie z 1807 roku, sprawy nie mogły zostać tak jak zostały; — należało tę rzecz szybko uregulować. Niestety! podjęły ją wówczas na ziemiach polskich tylko Prusy.

KAROL STEFAN FRYCZ

PRO DOMO ET PRO LINGUA

W OSTATNICH czasach ukazało się w prasie parę artykułów, poświęconych poprawności języka. P. Artur Chojecki oddawna zabiera na ten temat głos w „Gazecie Warszawskiej" p. Jędrzej Giertych umieścił w „Myśli Narodowej" artykuł, wymierzony szczególnie przeciw stylowi urzędowemu b. Galicji, jako truciźnie, która nie tylko zaprawiła swym gorzkim smakiem język tamtejszego społeczeństwa, ale rozszerzyła się daleko poza granice dawnego zaboru austrjackiego. Wystąpienia te wywołały odpowiedzi i uzupełnienia w innych pismach, np. w „Słowie" wileńskiem.

Uważam sam objaw za bardzo zdrowy. Mowa ojczysta jest tak cennym skarbem, tak ważne zajmuje miejsce w życiu narodu, że nie można

chyba włożyć za wiele energji w akcję, zmierzającu ku utrzymaniu jej w idealnej czystości lub wyplenieniu z niej chwastów, które się rozkrzewiły.

Zgadzam się również całem sercem na potępienie galicyjskiego języka urzędowego. Z tą prawdziwą hydrą sam dość się nawalczyłem — w szkole średniej, na uniwersytecie, w dziennikarstwie, w życiu codziennem. Przyznaję również słuszność twierdzeniu, że do zepsucia języka mojej dzielnicy przyczynili się potężnie żydzi. Nigdy jednak nie uznam, aby wszelkie zło językowe miało właśnie z tej dzielnicy wypełznąć. Chciałbym również zrobić parę uwag na temat metod, jakich używa się i metod, jakich należy używać w zbożnem dziele odchwaszczenia mowy polskiej.

Przy tem wszystkiem radbym uniknąć polemiki z ludźmi, którzy działają w najlepszej wierze i w najlepszej chęci. Z tego powodu najpierw stwierdzam, że ich poglądy uważam za trafne zawsze w pięćdziesięciu procentach, często w ośmdziesięciu, a idzie mi tylko o to, czego brak do pełnej setki. Dalej będę mówił jedynie o rzeczach, biorąc przykłady stąd lub stamtąd, a zupełnie nie wymieniając nazwisk. Lecz wygadać się muszę. Zadużo nazbierało mi się w pamięci materjału, za dużo mi leży na sercu.

Ogromna większość językoznawców stoi dziś na stanowisku, że o ile idzie o mowę żywą, zadaniem ich jest głównie obserwować praktykę ogólną, szeregować zaobserwowane zjawiska, udzielać im swej sankcji i ujmować w reguły na tej podstawie, że zostały zaobserwowane. Przy ich pracy odgrywa naturalnie znaczną rolę wiedza historyczna, lecz zasadniczym czynnikiem zostanie zawsze praktyka. Gramatycy wyrzekli się funkcji prawodawców, a w każdym razie znacznie ją ograniczyli. Minęły czasy, kiedy ks. Kopczyński jednem „Stań się!" z mocy autora podręcznika, nie mając oparcia ani we współczesnej praktyce, ani w historji języka, zróżniczkował narzędnik przymiotników wedle rodzajów. Dziś językoznawcy nie urządzają Termopilów. Obok form „przechowywam", „wykonywam", „dokonywam", uświęconych tradycją, ukazały się niepoprawne „przekonuję", „wykonuję", „dokonuję". Gramatycy potępiali je, dopóki nie spostrzegli, że ich opór jest daremny. Dziś są formy te równouprawnione, a dawniejsze zwolna nabierają kolorytu archaicznego. Zupełnie podobny proces, choć jeszcze nie tak daleko posunięty, zachodzi co do „umiem", „rozumiem" z jednej, a „umię", „rozumię" z drugiej strony. Jeszcze te drugie formy (wraz z ich fleksyjnemi odpowiednikami „umią", „rozumią") podkreśla się w zeszytach, lecz to niedługo już potrwa. Upodobnienie musi zwyciężyć i naukowcy ustąpią. Nie można bronić straconych pozycyj.

Sposób mówienia większości narodu — to potęga, przed którą trzeba schylić pokornie głowę. Człowiek, znający nieco gruntowniej obce języki, odczuje często dreszcz obrzydzenia przy wyrazie „spacer". Jest to bowiem twór prawdziwie barbarzyński. Do łacińskiego *spatium* Niemcy, po odrzuceniu końcówki rzeczownikowej dodali końcówkę jednej z konjugacyj francuskich, końcówkę, którą oddawna psuli zapożyczone od zachodniego sąsiada czasowniki (*marcher — marschieren*). Powstało słowo *spazieren*, a Polacy z niego zrobili spacer. Stale mi to wszystko przychodzi na myśl, ale cóż, słyszę wciąż wyraz naokoło, „przechadzka" ma już dla mnie w sobie coś wyszukanego, literackiego. Trzeba się uczyć pokory językowej.

I nie szukajmy w języku logiki. Nie tworzyli go matematycy ani filozofowie. Miednica nie jest już z miedzi, wieloryb nie jest rybą. Nawet i osławiona „większa połowa" to nic tak strasznego. Traktujmy mowę naszą jako coś żywego — i cieszmy się, że żyje, zmienia się, rozwija. Czy wolelibyśmy, aby popadła w stan klasycznej martwoty, jak sanskryt, łacina, greka?

Nie bądźmy też przesadni na punkcie barbaryzmów. Nie znaczy to, abyśmy ich nie mieli potępiać tam, gdzie są niewątpliwe. Unikajmy jednak przeczulenia. Że w obcym języku, który w danym wypadku mógł, jak wskazuje historja, wywrzeć wpływ, istnieje wyrażenie podobne, to jeszcze nie może służyć za dowód potępiający. Każdy język ma w sobie dużo obrazowości, ogromna część jego wyrażeń i zwrotów — to skrócone postaci mowy. Czyż wyobraźnia Polaka nie mogła kroczyć temi samemi drogami, co wyobraźnia Niemca czy Moskala? Po niemiecku mówi się, że jakaś rzecz posiada pewien przymiot „w wielkiej mierze" (*in hohem Mass*). Czyż to polskie wyrażenie musi być germanizmem, gdy przecie uzmysławiamy sobie miarę, którą wlewa się coś do większego naczynia?

Stosujmy tedy w kwestji barbaryzmów zasadę prawną: *In dubiis mitius*. Możemy sami nie używać danego wyrażenia, ale jeżeli brak nam pewności, że jest ono błędne, nie wydawajmy wyroku. Ja osobiście mam wątpliwości nawet co do czasownika „wykluczyć", gdyż daje on pewien obraz (obraz wyłączania czegoś przez przekręcenie klucza w zamku). Mimo istnienia niemieckiego *ausschliessen* nie jest ono germanizmem, raczej, jakby wynikało z Lindego (wyd, z r. 1852) rusycyzmem, gdyż ustęp brzmi:

> „Wykluczyć, cz. dok. Wykluczać niedok. Wyłączyć, *ausschliessen* (cf. klucz). Ros. *wykljuczył*, *wykljuczał*, *izkljuczył*, *izkljuczał*. Wykluczenie. Ros. *izkljuczenje*, *wykljuczka*. Wykluczyć urzędnika, w Rosji znaczy, złożyć go z urzędu, z wyłączeniem, czyli wymazaniem z listy".

Pierwsze miejsce niemieckiego odpowiednika tedy równoważy liczba (6) wyrazów rosyjskich, dalej zaś Linde podaje przypuszczalną drogę, którą wyraz wszedł do języka polskiego. Podejrzenie budzi tylko brak przykładów, więc może i rzeczywiście lepiej słowa nie używać, gdyż da się ono zastąpić przez „wyłączyć" lub „usunąć".

Doszliśmy do bardzo ważnej rzeczy. Przyswojenie obcego wyrazu jest wtedy uzasadnione, gdy niema rodzimego czy oddawna mającego wartość obiegową, któryby wpełni posiadał tosamo znaczenie. Konieczna jednak jest ostrożność co do identyczności znaczeń. Nie zgodzę się na potępienie „względnie" i „ewentualnie" i nikomu nie uwierzę na słowo, aby zastępowało je „albo". „Albo" łączy możliwości, postawione narówni. „Względnie" i „ewentualnie" poprzedzają możliwości, stojące na drugiem miejscu. „Jutro pójdę się przejść, względnie (ewentualnie) będę czytał książkę" znaczy: „Pójdę się przejść, o ile mi coś (np. zła pogoda) nie przeszkodzi. W takim razie zostanę w domu i będę czytał". Nie są też „względ-

nie" i „ewentualnie" germanizmami, gdyż jedno i drugie pochodzi z łaciny. Pierwsze jest przekładem *respective*, w drugiem *a* wskazuje związek z *eventualis*, nie z *eventuell* lub *eventuel* (chociaż bodźcem do utworzenia mógł być język niemiecki lub francuski).

Istnieje dużo wyrazów, które są barbaryzmami, ale mają mimo tego prawo obywatelstwa w pewnych wypadkach. Żeromski mówi, że Rafał Olbromski bywał w Krakowie w starym *kafehauz*'ie Müllera. Cóż łatwiejszego było, niż powiedzieć „kawiarnia"? Lecz Żeromski użył formy obcej dla zaznaczenia, że był to lokal w niemieckim stylu i o niemieckim charakterze. Opisując obce stosunki, wprowadzamy czesto obce, charakterystyczne wyrażenia dla uzyskania kolorytu. Mówiąc o austrjackiem wojsku czy wojskowych stosunkach w dawnym zaborze austrjackim, mamy prawo mówić o kasarniach, feldweblach, nawet o (ohydnym zresztą) asenterunku. Dopiero gdybyśmy przenieśli te określenia na inny teren, dopuścimy się barbaryzmu.

Do jakiego celu wiodą przedstawione tu zasady? Przedewszystkiem do barwności języka. Starajmy się każde pojęcie wyrazić słowem, które będzie mu jaknajściślej odpowiadało. Zobaczymy, że ustawicznie będziemy musieli zapożyczać się, czy to w językach obcych, czy w gwarach polskich, czy nawet próbować nowotworów. Wszystko to wymaga ostrożności, umiaru i odpowiedniego zmysłu, ale nie wychodzi poza uprawnienia literackie. Jeżeli coś podobnego zrobi uczeń szkoły średniej, możemy mu to poczytać za błąd. Publicysta czy beletrysta ryzykuje mniej, bo tylko tyle, że jego inowacja się nie przyjmie.

Barwności języka nie należy poświęcać bez ważnej przyczyny. Podam przykład, który zarazem będzie obroną własną. W drugiej części mojej „Literatury angielskiej" (Lwów, 1930) dla scharakteryzowania słynnego dyktatora literackiego z XVIII w. d-ra Johnsona przytoczyłem następującą historję: Autor słownika przechadzał się nad Tamizą. Ktoś zaczął mu wymyślać, lecz doktór tak ordynarnie mu odpowiedział, że ów człowiek zapomniał języka w gębie. Napisałem nie „ów człowiek", lecz „londyński batjar".

W recenzji, zresztą życzliwej, wytknięto mi to wyrażenie, jako prowincjonalizm. Nie chciałem sprzeczać się o podobną drobnostkę, ale przed paru tygodniami, właśnie w trakcie dyskusji językowej omówionej na wstępie, ktoś zawołał z wielkiem oburzeniem: We Lwowie nawet profesor uniwersytetu nie wstydzi się używać słowa batjar! — Uderzono w stół, nożyce się odzywają.

Tak jest, nie wstydzę się bynajmniej. Pojęcie, które miałem określić, nasunęło mi dwa wyrażenia — miałem do wyboru między warszawsko-krakowskim andrusem, a lwowskim batjarem (pochodzenia węgierskiego). Jedno i drugie było żargonowe. Wybrałem tedy milszego sobie batjara. Nie widzę powodu, aby koniecznie miała mieć przewagę gwara stołeczna.

Uważam za niebezpieczną wszelką centralizację, a już centralizacji językowej muszę stanowczo się sprzeciwić. Nie dla zastosowania zasady: „Bijesz ty mego żyda, biję ja twego żyda", ale z głębokiego przekonania, że właśnie Warszawa jest siedzibą tej tyranji językowej, która chciałaby wszystkim narzucić swój szablon.

Kilka lat temu odbywał się tam zjazd językoznawców. Wybitny uczony miejscowy piętnował szereg wyrażeń, które uważał za niepoprawne. Oburzał się na „pudełko z sardynek", bo wedle niego musiałoby ono być zrobione z sardynek. Żądał, aby mówić tylko „pudełko po sardynkach". Popadł niewątpliwie w błąd, który określiłem powyżej jako szukanie w języku logiki, ale podniecił się bardzo i tak piorunował przeciw mówiącym „pudełko z sardynek", że jeden ze słuchaczy, również nie byle kto w świecie językoznawców, nie wytrzymał i krzyknął: „A to łotry!" Mówca nie poznał się na ironji i, zadowolony z rzekomego poparcia, zawołał: „Tak jest, łotry, bo kalają język ojczysty".

Oto obrazek typowy, który przypomina się nieraz przy lekturze różnych artykułów językowych w prasie warszawskiej. Chyba tylko w Warszawie mogło się zdarzyć to, co mnie spotkało. W książce naukowej, po ostatniej korekcie autorskiej, pozmieniano mi takie formy nieodmienne, jak bitwa pod Bosworth lub Geoffrey z Monmouth na odmienne (Bosworthem, Monmouthu). Tam i korektorzy chcą być dyktatorami. Oni lepiej wiedzą...

Być może jednak, że jestem niezupełnie sprawiedliwy. Zdaje mi się, że w warszawskim świecie naukowym zapanował w ostatnich czasach duch liberalniejszy, który zapewne da się wkrótce odczuć i w sferach popularyzatorów poprawności językowej.

Jeszcze słów parę w obronie b. Galicji. Nie cała wina jest po jej stronie. Biurokracja ma tę właściwość, że umie w zakresie języka wyłowić wszędzie, co najgorsze. Utwierdzają mnie w tem przeświadczeniu ludzie z b. Królestwa i kresów, licznie przybywający w ostatnich czasach do naszej dzielnicy, jako urzędnicy administracyjni i samorządowi. Usiłują wyrażać się tak, aby odrazu można było nabrać przekonania, że to mówi i były żołnierz frontowy i człowiek z klasycznem wykształceniem (najczęściej nie zachodzi ani jedno, ani drugie). W kilku zdaniach jednego z tych urzędników znalazłem niedawno następujące wyrażenia: „bazować", „synchronistyczne ujęcie sprawy", „antycypowanie wniosku", „prejudykować ujęcie". Wyobrażam sobie, że słuchacze siedzieli, jak na tureckiem kazaniu.

Jest prawdą, że w prasie byłej Galicji — poza narodową — rozwielmożnili się żydzi, co fatalnie odbija się na jej języku. Ale dokładnie taki sam stan panuje w całej Polsce, przyczem chyba dawny zabór pruski jest poniekąd wyjątkiem. Przykład Galicji nie ulega wątpliwości, ale winni i ci, co naśladowali, a żyd żydowi równy bez względu na pochodzenie.

Wszędzie jest źle, trzeba więc, aby wszystkie dzielnice podały sobie ręce w pracy nad oczyszczeniem języka. Lecz strzeżmy się przesady, ważmy ostrożnie zarzuty i nie zabijajmy ani barwności naszej mowy, ani indywidualnego stylu, bo jeżeli tak będziemy postępowali, to — ze złośliwości skończę niemieckiem przysłowiem, a więc germanizmem — wylejemy dziecko z kąpielą.

Lwów WŁADYSŁAW TARNAWSKI

MICKIEWICZ A MORD RYTUALNY

(Ciąg dalszy)

RACJĘ ma dr. Markus Rapaport, gdy wspomina, że „Mickiewicz lubił zajmować się folklorem i obserwować życie ludu nietylko polskiego, lecz i litewskiego, białoruskiego i żydowskiego". Dodać tylko należy, że folklor tak polski, jak białoruski i rosyjski nie mówi o „kolczykach" dla „bachurków" żydowskich, ale właśnie o żydowskich mordach rytualnych, ponadto zaś przypisuje żydom inne jeszcze brzydkie sprawy. Zanim ktoś podejmie się napisania pracy np. „Żydzi w folklorze słowiańskim", wolę p. Markusa odesłać do kapitalnej dwutomowej „Historji literatury rosyjskiej" prof. Brücknera, skąd dowiedziałby się, co o żydach głosiły wieści i powieści ludu rosyjskiego. O polskim ludzie narazie tylko wspomnimy, że u ludu tego są prześmiewki z „żydowskiej szkoły", z której „wyszedł żyd goły" i t. p., a za największą obelgę uchodzi powiedzenie: „ty żydowska sługo" czy „ty żydowskie pomiotło". Charakterystyczne jest też dla ludu polskiego wyrażenie „żydowskie porządki". Znalazło ono nawet echo w I księdze „Pana Tadeusza":

„Już konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano,
Jako w porządnym domu, i obrok i siano:
Bo Sędzia nigdy nie chciał, według nowej mody,
Odsyłać konie gości żydom do gospody".

Ale nietylko przez folklor, przez „wieść gminną", dowiadywał się Mickiewicz o życiu, obyczajach i wierzeniach żydów. Znał te sprawy ze źródeł bardziej autorytatywnych i bezpośrednich, docierając nawet do ściśle intymnych szczegółów świata żydowskiego. Wprawdzie o mykwie nie wspominał, natomiast widać, że dobrze podpatrzył modlitwy żydowskie, skoro z takim humorem, w stylu jakoby szopki ludowej, odmalował je w kapitalnym opisie karczmy („Pana Tadeusza" ks. IV). Dzięki rozmowom przygodnym, a następnie dzięki Oleszkiewiczowi, poznał z grubsza kabałę i talmud, a więc sięgnął do tych tajemnic żydowskich, do których żydzi niechętnie dopuszczają gojów, mszcząc się nieraz nawet bardzo dotkliwie za tajemnic tych rozgłaszanie. A Mickiewicz niedość, że je rozgłaszał, ale sobie dość często pokpiwał z tej rabińskiej, żydowskiej „nauki". Każdy przecie pamięta te pełne humoru i parodji wiersze „Astronomji Wojskiego":

„I to wiadomo także u starych Litwinów,
A wiadomość tę pono wzięli od rabinów,
Że ów zodyjakowy Smok długi i gruby,
Który gwiaździste wije po niebie przeguby,
Którego mylnie wężem chrzczą astronomowie,
Nie jest wężem, lecz rybą, Lewjatan się zowie.
Przed laty mieszkał w morzach, ale po potopie
Zdechł z niedostatku wody..." i t. p....

Wiadomo (co stwierdził Pigoń w przypisach do „P. T."), że bujda o Lewjatanie nie jest wcale podaniem ludowem, ale poprostu „naukową" tezą Talmudu, szeroko wałkowaną w tem żydowskiem „dziele". Śmieszyło ono Polaków już w XVIII w., czego dowodem osławione ze swej głupoty (choć mniej niedorzeczne od Talmudu) „Nowe Ateny" ks. Chmielowskiego.

Talmudyczna formalistyka zawsze mierziła Mickiewicza. W „Księgach Pielgrzymstwa" (XVIII) z niechęcią wielką mówi o żydach „którzy kłócą się o tref i koszer, a nie rozumieją, co to jest kochać i umrzeć za prawdę". Co jednakże najbardziej było mu obce i wstrętne, to etyka żydowska. Dowodów na to mnóstwo znaleźć można w tychże „Księgach Pielgrzymstwa". Wszak pamiętamy, jak to „królowie wyrzekłszy się Chrystusa, porobili nowe bogi, bałwany". Kogóż to na czele tych bożków wspomina Mickiewicz, jak nie... żydowskiego złotego cielca? A dalej jest wspomniany nowy bałwan — „Interes", ten właśnie, którego cześć najgorliwiej i dziś jeszcze wyznają żydzi... Ten kult interesu przeciwstawia polski poeta kultowi ukrzyżowanego za sprawą żydowskich sędziów Chrystusa:

„tedy upadły krzyże z wież stolicy bezbożnej, bo znak Chrysusa już nie mógł oświecać ludu, czczącego bałwana Interes"...

Żeby kto nie wątpił, że do żydów również czyni tę aluzję Mickiewicz, cytuję zaraz następne jego słowa o Kazimierzu Perierze:

„I rozerwał człowiek ten przymierze ludów, jako ów kapłan żydowski rozerwał szatę swą, słysząc głos Chrystusa"...

Warto te słowa pamiętać i wtedy, gdy się czyta widzenie księdza Piotra, cz. III „Dziadów", gdzie poeta powtórzył dosłownie za Ewangelją wrzaski tłuszczy żydowskiej, domagającej się śmierci Chrystusa. Z powodu wrogiej postawy żydów do Chrystusa i chrześcijaństwa Mickiewicz nieraz czynił im gorzkie wyrzuty:

„Powiadał Chrystus do narodu wybranego od Boga: „Jeśli ty, narodzie Abrahamowy, nie pójdziesz za mną, tedy Bóg odrzuci plemię twoje, a z kamieni wzbudzi synów Abrahamowi"; co znaczyło, iż z Greków i Rzymian zrobi chrześcijany". („Ks. Pielgrz." XXI).

Całe „Księgi Pielgrzymstwa" są apoteozą chrześcijaństwa, które przyniosło światu miłość i ideę wolności. Co natomiast, zdaniem Mickiewicza, nieśli żydzi i żydowska ideologja? Morderstwo ludzi, mówiących o wolności...

„Jeruzalem, które mordujesz ludzi mówiących o wolności, mordujesz proroki twoje; a lud, który morduje proroki swoje, uderza sam siebie w serce swoje jak szalony samobójca. Przyjdzie na Judę i Izraela ucisk wielki". („Ks. Pielgrz." XXII).

Albowiem, jak mówi Mickiewicz, żydowska etyka jest przeciwieństwem polskiej idei wolności:

„Słyszycie, iż mówią żydzi i cyganie i ludzie z duszą żydowską i cygańską: tam Ojczyzna, gdzie dobrze. A Polak powiada narodom: tam ojczyzna, gdzie źle, bo gdzie tylko w Europie jest ucisk wolności i walka o nią, tam jest walka o Ojczyznę i za tę walkę bić się wszyscy powinni". („Ks. Pielgrz." XXI).

Żydzi to dali wzór despotom[2]), jak mają krzyżować i prześladować w świecie Chrystusową ideę wolności. Te same niemal słowa, z jakiemi Chrystus zwracał się ku żydom, wypowiada Mickiewicz kilkakrotnie do despotów świata, mówiąc o mocarstwach, które „odrzuciły kamień węgielny

[2]) Że żydzi byli zausznikami despotów i tyranów, świadczą dzieje. Mardocheusz był doradcą gnębiciela wolności, króla perskiego Kserksesa. Neron, Dioklecjan, Saladyn, Justynian, Jan bez ziemi, Filip II, nasz Mieszko III byli nieraz uległem narzędziem w rękach żydów.

budowy europejskiej". I wnet po przytoczonych słowach o ucisku, mającym przyjść na „Judę i Izraela", gdy Europa poczuje się w swych prawach i wyzwoli się z pod władzy tyranów, czytamy w „Księgach Pielgrzymstwa" (XXIII) takie słowa:

„A wy, kupcy i handlarze obojga narodów, łaknący złota i papieru, dającego złoto, posyłaliście pieniądze na zgnębienie wolności, a oto przyjdą dni, iż będziecie lizać złoto wasze i żuć papier wasz, a nikt wam nie przyśle chleba i wody... Bo zasłużyliście, abyście byli bez uszu, jako są szelmowie".

Przykazując pielgrzymom, by szli śladami apostołów, Mickiewicz przestrzega ich jednakże (XIV), że i między apostołami znalazł się zdrajca Judasz, ten właśnie, który służył żydowskiej „ideologji"— pieniądzowi. Ale nigdzie tak wyraźnie nie przeciwstawił poeta polskiej etyki etyce żydowskiej, jak w rozdziale XV „Ksiąg", w przypowieści o gajowym, który jako chrześcijanin (co Mickiewicz podkreśla) dla miłości bliźniego naraża swe zdrowie i życie, broniąc żydów przed napadem zbójcy. Żydzi, zamiast mu się odwdzięczyć, bojąc się, by nie zażądał od nich zapłaty, wydrwiwają jego ofiarność, pomniejszając ją różnemi wykrętami i kłamstwem, aż wreszcie zadziwieni pytają: „przyznaj się, dlaczego to zrobiłeś". Na to odpowiedział gajowy:

„Tego jednego wam nie powiem, a choćbym powiedział nie zrozumiecie, bo inny jest rozum żydowski, a inny chrześcijański, ale gdybyście się nawrócili do chrześcijaństwa, zrozumielibyście sami postępowanie moje, nie potrzebując pytać się mnie". I to rzekłszy, wyszedł od nich. Idąc zaś, jęczał dla ran. A żydzi mówili między sobą: chlubi się, że jest mężny, a jęczy; rany jego nie są ciężkie i tylko jęczy, żeby nam straszył dzieci. Wiedzieli żydowie, iż ciężko raniony był, ale czuli, iż źle zrobili, a chcieli sami w siebie wmówić, że nic złego nie zrobili. I gadali głośno, aby sumienie swe zagłuszyć".

Mimochodem tylko wspomnę o tem, że przypowieść ta jest pokrewna młodzieńczej balladzie Mickiewicza „Powrót taty", i zdaje się, że wyrosła ze wspólnego źródła: ze wspomnienia owej podróży, w której młodociany Mickiewicz obawiał się, że wiozący go stary żyd, przypatrujący się mu w tak podejrzany sposób, chce go obrabować, a może i zamordować; wiadomo, że obawom tym — i owym „przyjaznym" podoobno, jak się okazać natychmiast miało, zerkaniom starego izraelity w stronę młodego panicza, położył kres, ukazany przez tegoż panicza w samą porę, stary pistolet ojcowski... który, wedle żydowskiego przysłowia, mógł „nieostrożnie" wystrzelić.

Ale ważniejszą jest sprawa inna. Wszystkie przypowieści w „Księgach Pielgrzymstwa" mają sens alegoryczny (co leży w samej istocie przypowieści) i zawierają aluzję bądź do wypadków powstania listopadowego, bądź też do życia emigracji powstańczej. Ów chrześcijanin-gajowy, który bezinteresownie staje w obronie nietyle własnej, ile bliźnich, należących do innej narodowości, to oczywiście symbol powstańców, głoszących hasło: „za waszą wolność i naszą", a przeciwstawiających się rozbojowi uprawianemu w Europie przez rządy despotyczne. Przez tę przypowieść dotknął Mickiewicz sprawy naówczas aktualnej: stosunku żydów do powstania listopadowego.

Jaki był ten stosunek, wie każdy. Żydzi w znacznej części byli na usługach carskiego rządu rosyjskiego, jako szpiegowie i donosiciele. Świadczą o tem tysiące zachowanych dokumentów. Mickiewicz był o tej roli żydów dobrze poinformowany, skoro w balladzie „Pan Naczelnik", osnutej na tle powstania listopadowego, a wiążącej się nawet poszczególnemi wyrażeniami z „Księgami Pielgrzymstwa", pisze bez obsłonek:

...Drzewo suche — lecz miało owoce.
Najgłodniejszych ten owoc odstrasza:
Wiszą na niem dwie gruszki Judasza.
W górę szpiegi! Cesarskie to sługi:
Jeden Prusak, z nogami długiemi,
W białych pończochach; a drugi
Żyd, pejsami zamiata po ziemi".

Za kogo więc uważał autor „Pana Tadeusza" żydów w latach 1831 — 1834, w latach, gdy powstawały „Dziady", „Księgi pielgrzymstwa" i nieśmiertelna epopeja „Pan Tadeusz"? Oto poprostu uważał ich za szpiegów, służalców cara, zdrajców-Judaszów, sprzedawców, wrogów wolności, wrogów Polski i narodu polskiego! To powinni sobie nareszcie uświadomić ci wszyscy, którzy plotą o ówczesnym jakoby filosemityzmie Mickiewicza, albo — co już rzecz śmieszna! o pokutującym w nim jakoby głosie krwi żydowskiej! Wszak widzieliśmy, że i do religji żydowskiej miał Mickiewicz rasową odrazę, a przywiązanie swoje do chrześcijaństwa, mówiąc ściśle: do katolicyzmu, manifestował zaraz na czele swego poematu, podkreślając mocno swą wiarę w te zasady, które nietylko żydostwu, ale i niektórym odłamom chrześcijaństwa są obce (kult obrazów, cześć Matki Boskiej i t. p.).

To mówimy na odczepnego tym, którzy bredzili gołosłownie a niepoczytalnie o tem, jakoby Mickiewicza otruli chrześcijanie *Pro Christo* za jego rzekomo antychrześcijańskie poglądy. Jeżeli kto w r. 1855 mógł mieć interes w sprzątnięciu ze świata Mickiewicza, to przedewszystkiem carska Rosja, ta twierdza despotyzmu, którą Mickiewicz uważał za spadkobierczynię prześladowców chrześcijaństwa, cesarzy rzymskich, oraz popleniczkę żydowskiego bóstwa — Interesu. A warto wiedzieć, że jak w r. 1830, jak przedtem w r. 1812, tak i podczas wojny krymskiej szpiegami rosyjskimi byli dość często żydzi... Prócz zwyczajnego „geszeftu" mieli w tem i pewne widoki polityczne. Oto carska Rosja już w pierwszej połowie XIX w. zaczęła się natrętnie swemi wpływami pchać do Palestyny (wszak wtedy to oszpecono Grób Chrystusowy w Jerozolimie brzydkiemi moskiewskiemi „ozdobami" i straż nad nim wydarłszy z rąk „łacińskich" franciszkanów, oddano ciemnym czerńcom prawosławnym!); Rosja paraliżowała tam władzę turecką, dającą pewne prawa chrześcijanom, natomiast nie dającą ich żydom. Wobec takiego stanu rzeczy nie było na rękę żydom tworzenie legjonu żydowskiego w Turcji przeciwko Rosji. Nie mówimy już o tem, że żydzi nie lubią wogóle być brani do wojska; wojna światowa i wojna polsko-bolszewicka dostarczają tysięcy dowodów na to, jak umieli oni udaremnić czyjekolwiek zakusy, mające na celu ich wojskową mobilizację. A właśnie takie zakusy czynił Adam Mickiewicz. Nie mogło to być żydom na rękę, nie mogło być im miłe. Stosunek ich do tej sprawy musiał być taki sam, jak owych żydów ze wspomnianej przypowieści, którzy woleli pozbyć się gajowego z fuzją... choćby nabitą śrutem na ptaszki.

(Dok. nast.)

FEL. LACH

NA WIDOWNI

Pogarda liczby i miary, a pogarda rzeczy samej. — Jakie to dogodne dla żydów. — Nowa struktura gospodarcza, uwzględniająca gałąź przemysłu złodziejskiego. — Złodziej i literat w statystyce. — Przebudowa etyczna. — Prawo obchodzone. — Upadek cywilizacji.

POGARDA wobec liczby i miary! Rozważając rozumne spostrzeżenia Zyg. Raczkowskiego, pod powyższym tytułem w poprzednim n-rze (36) ogłoszone, miałem wrażenie, że jestem pospołu z całą naszą polską sferą oświeconą pociągnięty do wstępnego egzaminu szkolnego. Dzieciom, wstępującym do szkoły powszechnej wychowawca zadaje takie proste „testy", aby sprawdzić ich poczytalność umysłową.

Liczby są symbolem zbyt abstrakcyjnym dla naszych umysłów. Żydzi powiadają, że właśnie dlatego oni w Polsce są potrzebni; oni doskonale liczą i, co ważniejsza, mają świetną wyobraźnię cyfr i rzeczy, które cyfra symbolizuje. Do tego stopnia nie lubimy liczb, że mało kto wie, ilu w Polsce jest żydów, pomimo że ciągle antysemici i statystycy ich liczbę ogłaszają. Dopiero ten, kto się znajdzie na Nalewkach, albo w Saskim Ogrodzie, zobaczywszy czerń, łapie się za głowę. Znajdujemy się jeszcze w stadjum plastycznej nauki o rzeczach.

Są liczby i liczby. Można darować, że kogoś nie przejmą swą konkretnością liczby, wyrażające odległość Warszawy do słońca, albo do Wilanowa... Chociaż i tutaj dzieją się rzeczy zabawne. Oto np. jakiś człowiek, mądry po pięciogroszówce, straszy w kawiarni opowiadaniem, że astronomi przepowiadają koniec świata za 25 miljonów lat. — Jak pan powiedział?—pyta ktoś przygłuchy. — Za 25 miljonów. — Chwała Bogu! Tak mnie pan przestraszył. Myślałem, że za 5 miljonów.

Nawet w tym wypadku nie było osobistego powodu do trwogi. Ale gorzej jest, gdy nikomu nic nie mówią cyfry pieniędzy kradzionych ze skarbony publicznej lub trwonionych. Tutaj nawet małe liczby przerażają. Mają one bowiem swoją wymowę gospodarczą i etyczną dla tych, którzy są wrażliwi na dolę społeczeństwa.

Dziwi mnie, że wśród tych wrażliwych nie znalazł się dotąd manjak statystyki i nie sporządził bilansu, ile w ciągu roku skradziono z kas publicznych (państwowych, samorządowych, stowarzyszeń i t. p.) w sposób t. zw. defraudacyj, choćby tylko na podstawie liczb ujawnionych w procesach. Ponieważ, jak twierdzą znawcy, tylko drobna część ujawnia się oczom prokuratora, można byłoby tę sumę pomnożyć przez 10 i mielibyśmy obraz złodziejskiego obrotu gotówki. Do tego dodałoby się drugą pozycję — niemniejszą— ekspensu lekkomyślnego, napiętnowanego tak wymownie przez b. premjera płk. Prystora. Byłyby tu łącznie liczby tak zawrotne, że nieraz przechodzące pojęcie ludzkie.

To grosz publiczny. Ale gdyby chodziło o wyrobienie ludziom pojęcia o strukturze kryminalnej społeczeństwa, to do tamtej sumy należałoby dodać sumę z bilansu złodziejstwa prywatnego. Możnaby go sporządzić choćby z kronik policyjnych, ile zabrali kasiarze wolno zarobkujący, włamywacze, kieszonkowcy i t. p. Razem to złączywszy, wiedzielibyśmy mniej więcej, jaki jest w Polsce roczny dochód ludności. zajmującej się kradzieżą.

Statystyka zdaje się nigdzie nie liczy na dostateczną wyobraźnię liczb, dla tego wymyśliła pomocniczy środek ekspresyjny w postaci figur, ustawianych rozmiarami w proporcji liczb przez nie reprezentowanych. Jakże byłoby przykro dla dumy narodowej, gdyby u nas z takiego zestawienia okazało się, że figura złodzieja według statystyki dochodów następuje bezpośrednio np. po dochodach wielkiego przemysłu, a przewyższa przeciętne dochody gotówkowe wszystkich rolników. Nie chcę zresztą zdradzić się z brakiem wyobraźni w stronę maksymalnych pozycyj, ale to wiem napewno, że figura złodzieja wyglądałaby między figurkami dochodów literatury, nauki, sztuk plastycznych, muzyki, jak Guliwer między Liliputami.

Gdzież pisarzowi w Polsce do złodzieja! Znam zasłużonych literatów, wychudzonych z głodu, dosłownie — z głodu. Znam mających piękne książki do wydania, których niepodobna wydać z powodu ubóstwa społeczeństwa. Takiemu lżej byłoby zdychać z głodu, gdyby wiedział, że znajdzie się ryzykant na wysokość choćby 1000 złotych i wyda jego książkę. A taki tymczasem dowiaduje się ze sprawozdań sądowych, z jaką łatwością złodziej zabiera setki tysięcy z instytucji, która nie tylko zrzuciłaby go ze schodów, gdyby jej zaproponował wydanie książki, ale zlicytowałaby go za 100 zł. niepokrytej należności.

Bo tak jest: najbogatsze instytucje nie pomyślą o odpisaniu z zysków skromnej kwoty na cele kultury naukowej czy artystycznej, ale dla złodziei kasy mają otwarte. Czytajcie sprawozdania z toczących się ostatniemi dniami procesów: nieprzyzwyczajonemu aż się ćmi w głowie od cyfr. Ale pomyślcie o tem, że w ten sposób zmienia się potrochu fason moralny społeczeństwa; najsilniejszą materjalnie warstwą społeczną staną się złodzieje. Ich zawód będzie najrentowniejszy. Zmieni się wogóle sposób kalkulowania ekonomicznego i charakter Arjów. Upodobnimy się do żydów, którzy zrównali wszystkie procedery, wiodące do zysku, bez względu na moralność. Ci korzystają chciwie z naszej pogardy wobec liczby i miary, uczą też nas kraść bez miary. Ale, niestety, uczą rzeczy gorszej: pogardy dla etyki zysku. Jeszcze nie opisujemy w gazetach kradzieży w rubryce „życie gospodarcze", ale już czytamy je obojętnie lub z uśmiechem na widok przemyślności jednych i tolerancji drugich.

Nie uprzytomniamy sobie należycie, jak wspaniale „rozbudowuje się" złodziejstwo, organizując się w system gospodarczy, obejmujący już dzisiaj wszystkie piętra społeczeństwa. Twórcami tej organizacji od góry do dołu są żydzi, jako paserzy, inspiratorzy, kusiciele łapówek i defraudacji. Poczynając od wyrabiania fałszywych monet, kończąc na aferach żyrardowskich i politycznych wszędzie mamy twórczość żydowską. Aryjczycy, z natury dość tępi w tym kierunku, spełniają rolę techników, robotników fizycznych, rycerskich ryzykantów, zadawalając się cząstką niegodziwego zysku.

Widzieliśmy teraz pracę tych uczniów przy operowaniu dostawami dla wojska, w operacjach żyrardowskich (uczniów ze sfer ziemiańskich), w okradaniu muzeum Krasińskich. Jakże rafinowane, wysoce kulturalne dziedziny obejmuje ten

przemysł! Gdzieżby w naszych aryjskich sferach złodziejskich znalazł kto tyle znawstwa sztuki i smaku, co u tych handlarzy. My potrzebowaliśmy stuletniej kultury, żeby dojść do dzieł mistrzów, żeby wyprodukować w bohaterskich dziejach jakiś miecz, będący dzisiaj cenną pamiątką, potrzebowaliśmy stuleci, żeby wyprodukować Edwarda Krasińskiego, stawiającego dla tych dzieł i pamiątek pałac. Na co? Na to, żeby do oceny wartości tych rzeczy zupełnie inną drogą doszedł żydek ze spelunki złodziejskiej i żeby poczuł się w prawie zdobyć z tego zysk pieniężny.

Powiadają, że żydzi nie awansują w kulturze artystycznej, że nie mają wyższych potrzeb duchowych! Mają, tylko trzeba dzieła sztuki im uprzystępnić. Więc wynajmują się aryjczycy, którzy za niewielkie wynagrodzenie, może dla samego popisu przed żydami, dokonywają cudów akrobatyki. Z narażeniem życia dostają się do muzeum przez kopułę szklanną, wyszukują najcenniejsze przedmioty według wskazówek żyda znawcy i wręczają mu trofea polskiej kultury. Jakaż to symboliczna historja!

(Skoro mowa o dziełach sztuki, warto zanotować, że w Wiedniu zmarł temi dniami adwokat Menkes, który przed laty doszedł do posiadania (w drodze honorarjum — jak wyjaśnia — adwokackiego) przecennych zbiorów po zmarłym na obczyźnie Ignacym Milewskim. Była tam cała galerja mistrzów polskich 19-go wieku. Co się z nią dzieje?)

Te dwa typy systemów etycznych i gospodarczych przenikają się coraz głębiej, rozsadzając naszą cywilizację. Od dołu do góry każdy motyw architektoniczny gmachu polskiego przerabiany jest w stylu. Nie jest to sztuka łatwa wsunąć w siebie dwie cywilizacje z sobą sprzeczne. Trzeba naprzód zrobić w tym celu wiele luzu, aby się to udało. Rozluźnić trzeba pojęcia i kanony dążeń. Ponieważ rodzimą cywilizację stawiał w pionie chrześcijański Kościół, ciało zaś jej dawał naród, trzeba te dwie moce sparaliżować w duszach. Ponieważ strażą jej i ochroną jest państwo ze swoją polityką i prawem, trzeba dobrze pochodzić koło tego, aby ten czynnik nie był przeszkodą w tej robocie przenikania żydowskiego.

Długa to robota, wprost syzyfowa — niszczenie centrów mózgowych narodów. Zdawało się już wszystko na dobrej drodze, przychodzi nowe pokolenie i centra odżywają!

Do djabła! Gdybyż to można tak zrobić, aby wszystkie oporne elementy izolowane były!

Cokolwiek jednak da się zrobić w polityce, prowadzić trzeba nieustającą pracę w celu osłabiania autochtonów w poczuciu rzeczywistości dzisiejszej i pojmowaniu wartości. Przewartościowywać wszystko, co miało swoją sankcję w katechiźmie i w kodeksie, w odwiecznych ideałach kultury i w smaku literackim czy artystycznym. Potem pogadamy o polityce.

Wielką robotę wykonał marksizm w sojuszu z masonerją.

S K O N F I S K O W A N O

W takich czasach, które przeszły szkołę „ekspropriacyj" socjalistycznych, a potem systemów gospodarczych, które napiętnował Prystor, nikt niczemu się nie dziwi, a zatracenie poczucia rzeczywistości dziejowej charakteryzuje się pogardą zarówno dla liczby, jak i pogardą dla miary etycznej uczynków i stosunków.

ŻYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

ROMAN DMOWSKI O MILITARYZACJI POLITYKI. Zasługuje ze wszech miar na uwagę zarówno Polaka, jak Niemca czy Włocha serja artykułów znakomitego pisarza ogłoszona teraz w szeregu dzienników narodowych na temat kapitalnego zagadnienia, które faszyzm i hitleryzm pragnęły rozwiązać: czy można robić politykę na komendę wojskową.

Dmowski za punkt wyjścia bierze czasy wojny. Łatwo było porównać to, co robiło wojsko, z tem, co robili politycy. Porównanie nie wypadało na korzyść polityków. Wojskowi obiecywali sobie, że po wojnie zrobią porządek z politykami. Okazało się jednak, że nie jest to tak łatwo. Żołnierze rozsypali się po kraju, organizacje zaś kombatantów niewiele zdziałać mogły. Zresztą opanowane zostały przez masonerję. Jedynie w Polsce wojsko zamieniło się po wojnie w wewnętrzną siłę polityczną, ale tylko cząstkowo, mianowicie jedna tylko formacja tajnie zorganizowana.

Wszakże w kilka lat po wojnie idea wojskowa wystąpiła rewolucyjnie przeciwko masonerji we Włoszech, gdzie masonerja najbardziej zaciążyła nad życiem politycznem. Idea nacjonalistyczna Corradiniego zrodziła organizację faszystowską, opartą przeważnie na żołnierzach z wojny. Ruch ten wywarł ogromny wpływ na inne kraje. We Francji i Anglji masonerja najlepiej się w życie worganizowała i trzyma dążności nacjonalistyczne na uwięzi. Natomiast w Niemczech faszyzm wybujał w postaci hitleryzmu. Zasadą obu tych ruchów jest duch wojskowy, podczas gdy zasadą dawnego układu sił był duch parlamentaryzmu.

Walka wewnętrzna przybrała charakter fizyczny wojny. Stąd uniformy, słownictwo wojskowe, a nadewszystko komenda.

Ten typ walki okazał się korzystny, ale gorzej wypadła praca polityczna, do której walka jest wstępem. Organizja bowiem typu wojskowego zawdzięcza swoją siłę i sprawność momentom ilości i mechaniczności; w polityce potrzebna jest jakość twórczości umysłowej, nie dająca się zastąpić fanatyzmem haseł. Uwidoczniło się to w faszyzmie i w hitleryzmie, „najgorzej bodaj — słowa Dmowskiego — na tych organizacjach w Polsce, które naśladowały, raczej karykaturowały" tamte ruchy.

„Wódz" może doprowadzić do zwycięstwa swej zasady, ale nie może zostać instytucją rządu na stałe. Jest śmiertelny, a genjalność jednostki nie jest ani dziedziczna, ani obieralna. A cóż daje się już widzieć? Uderza to we Włoszech i Niemczech, że po znakomitem zwycięstwie i wyniszczeniu dawnych przeszkód zapanowała dziwna jałowość, gdzie oczekiwało się twórczości. Karność bowiem sama nie wystarcza. „Zmilitaryzowani politycy oczekują od wodza, żeby im rozkazywał nie tylko, co mają robić w walce i w pracy politycznej, ale i co mają myśleć". W tych warunkach niema sposobu przejść od dyktatury do systemu rządów narodowych, które były celem, brak bowiem myśli twórczej w narodzie.

Naród nia może stworzyć rządów narodowych, dopóki nie wyłonił z siebie ducha nowych norm prawnych dla swej budowy. Militaryzacja polityki, zbyt ufna w siłę fizyczną państwa, przeocza ten moment organiczny. W Niemczech są objawy groźne pogardy prawa. To, co zrobił Hitler 30 czerwca, nie jest dziełem narodowem, bo urąga najogólniejszym zasadom cywilizacji.

Rozprawa Dmowskiego ma niemałe znaczenie programowe dla naszego ruchu narodowego w sensie usamodzielnienia go od wzorów nacjonalizmu obcego. O ujemnem działaniu na wychowanie systemu komendy wojskowej pisaliśmy w „Myśli Narodowej" w nr. 18 z 29.IV r. b. Znakomita krytyka feszyzmu i hitleryzmu, dokonana przez Dmowskiego, utwierdza nas w tym poglądzie.

NAUKA i LITERATURA

MIĘDZYNARODOWY KONGRES GEOGRAFICZNY

W DNIU 23 sierpnia rozpoczął się w Warszawie Międzynarodowy Kongres Geograficzny. Otwarto go w Politechnice. W olbrzymim hall'u zawieszono przeszło 40 sztandarów, tak aby każdy uczestnik Kongresu znalazł wśród nich swój ojczysty.

Przytoczyć wypada szereg cyfr aby w ten sposób dać czytelnikowi pojęcie, że jest to najliczniej reprezentowany zjazd gości zagranicznych, ze wszystkich, dotychczas w Polsce otwartych.

Niemcy wysłały 50 uczonych, Argentyna — 1, Belgja — 35, Brazylja — 1, Bułgarja — 2, Chile — 1, Chiny — 2, Kuba — 4, Danja — 1, Gdańsk — 6, Egipt — 5, Hiszpanja — 11, Estonja — 2, Stany Zjednoczone — 23, Finlandja — 2, Francja — 100, Anglja — 58, Grecja — 6, Węgry — 8, Italja — 47, Japonja — 6, Łotwa — 2, Litwa — 1, Norwegja — 3, Persja — 3, Holandja — 8, Filipiny — 1, Polska — 247, Portugalja — 3, Rumunja — 9, Szwecja — 5, Szwajcarja — 8, Czechosłowacja — 19, Turcja — 2, Jugosławia — 3, Z. S. R. R. — 4.

Oczywiście, przedstawiciele reprezentują mnóstwo zakładów oraz instytucyj naukowych.

*

Na uroczystem otwarciu obecny był Pan Prezydent. Prezes Międzynarodowej Unji Geografów, Iaak Bowman (z N. Jorku) wygłosił dłuższe przemówienie w języku angielskim; tekst francuski mieli słuchacze do dyspozycji w drukowanej broszurce. Mówca podkreślił udział Niemiec oraz Gdańska w obradach i scharakteryzował zasadnicze linje wytyczne Kongresu: przystosowanie się człowieka do środowiska. Jest to przedmiot działu geografji, zwanego antropogeografją.

Przemawiali również oficjalni delegaci: Belgji, Niemiec, Francji, Anglji, Italji, Holandji oraz Stanów Zjednoczonych.

Z kolei zwiedzono imponującą wystawę kartograficzną w gmachu nowej kreślarni Politechniki.

Dość wspomnieć, że obejmuje ona sześć olbrzymich sal — trudno byłoby wyliczać eksponaty i ich ilość. Niemal wszystkie, reprezentowane na Kongresie Państwa przysłały swe oficjalne wydawnictwa kartograficzne. Obok fenomenalnych prac polskiego Wojskowego Instytutu Geograficznego widzieliśmy wspaniałości Stanów Zjednoczonych, Francji, Szwajcarji.... z niebywałem zaciekawieniem oglądano mapy Dalekiego Wschodu (Japonja, Chiny) oraz plastyczny relief okolic arktycznych, na którym przedstawiciel Z. S. R. R., sędziwy badacz Szokalsk j wskazywał zdobycze nauki i tragiczne zmagania się „Czeljuskina" z naporem lodów.

Na osobne omówienie zasługiwałaby wystawa prac Zakładu Kartograficznego ze Lwowa — twórcy dzisiejszej kartografji polskiej: prof. d-ra Eug. Romera.

Któż nie zna tego wiele mówiącego nazwiska?

Wzruszający był moment, gdy w ub. sobotę prof. H. Arctowski wręczał prof. E. Romerowi jubileuszowy podarunek: tom prac naukowych. Czterdzieści lat pracy na polu geografji, oto bilans polskiego nestora tej nauki. Przeszło 350 pozycyj w bibljografji wydanych dzieł — przeszło 500 uczniów....

*

Inną, bardzo ciekawą wystawę dała Bibljoteka Narodowa. Jest w niej rozwój polskiej kartografji od czasów przedptolomeuszowskich, aż do roku 1918. Zorganizowali tę wystawę z inicjatywy dyr. Biblj. Nar. p. St. Dembego.

Goście zagraniczni oglądali ponadto wystawę „Polska i jej lud" w Zachęcie. Wielkie wrażenie wywarła na wielu z nich „Bitwa pod Grunwaldem".

Na osobną wzmiankę zasługuje sobotni koncert muzyki polskiej w Konserwatorjum. Rzadko kiedy wykonawcy zostali w tak nadzwyczajny sposób wybrani: prof. Józef Turczyński grał Chopina, Zaremskiego, Maliszewskiego i Paderewskiego; p. Aniela Szlemińska entuzjazm wzbudziła pieśniami Moniuszki, Karłowicza, Maklakiewicza, Niewiadomskiego i Wieniawskiego zaś cudna gra, głęboki ton, delikatność pociągnięcia smyczka a nadewszystko czarująca sylwetka p. Eugenji Umińskiej na długo zostaną słuchaczom w pamięci. Wykonawcy oddawna chyba nie mieli tak wdzięcznych słuchaczy.

Żałować tylko należy, iż nie udało się zaprodukować gościom koncertu symfonicznego w Filharmonji.... lato, urlopy,...

W niedzielę urządzono cztery podmiejskie wycieczki, w okolice Łowicza, Płocka, Łodzi oraz przechadzkę po mieście.

Komitet Pań gorąco opiekował się towarzyszącemi Kongresistom paniami, urządzając im zwiedzanie miasta. C. I. W. F.'u, I. P. S.'u i t. d.

*

Co dnia rano i popołudniu toczą się obrady w pięciu sekcjach; referatów zgłoszono przeszło 300. Wydane zostaną po Kongresie w „Pamiętniku" — plon będzie to nader wspaniały.

Do sprawozdania dalszego powrócimy w numerze następnym.

JERZY MŁODZIEJOWSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Od czasu śmierci ś. p. J. Łosia ustały u nas niemal badania nad wersyfikacją, zwłaszcza nad wersyfikacją polską. Artykuł Szczerbowskiego o asonansie (nieco jednostronny), szkic Kleinera o polskim wierszu jambicznym, poważna praca F. Pohoreckiego o rytmice wierszowanej kroniki t. zw. Galla (dziś, po cennych, wnikliwych obserwacjach księdza-Francuza, P. Dawida, uznanej raczej za poemat panegiryczno-epicki w rodzaju francuskich *chansons de geste*, niż za kronikę), szkice B. Gładysza o hymnach i Ganszyńca o rytmice „Silvi-ludiów" Sarbiewskiego etc. — oto bezmała plon ostatnich lat dziesięciu, plon, w którym poezja polsko-łacińska ma przewagę nad polską. Są to wszystko tylko przyczynki, dotyczące poszczególnych zjawisk. Natomiast zasadnicza teorja wiersza leży u nas odłogiem. Ostatnim teoretykiem i badaczem istoty i podstaw wersyfikacji był zasłużony K. Wójcicki.

Dopiero teraz znalazł się człowiek, który rozpoczął pracę od podstaw w zaniedbanej dziedzinie. Jest nim dr. H. Życzyński, prof. uniw. w Lublinie, znany badacz dzieł Mickiewicza, a ponadto jedyny u nas dokładny znawca poglądów estetycznych z początku wieku zeszłego, t. j. czasu, kiedy u nas po raz pierwszy zajęto się na serjo teorją rytmiki (Elsner, Królikowski).

Jego „Problemy wersyfikacyjne", które ukazały się właśnie niedawno w nakł. Lubelsk. Tow. Nauk., są próbą poruszenia sprawy z martwego punktu. Jest to narazie dopiero jakby wstęp do obszerniejszego dzieła, które prof. Ż. powinien napisać, przeprowadzając bardziej systematycznie i szczegółowo rzucone przez siebie tezy. Dokonał już przeglądu teoryj dawniejszych, poddając je wnikliwej krytyce, poczem postawił własną definicję rytmu i wiersza. Przechodząc następnie do przykładów, unaocznia na nich, że niedość liczyć sylaby, by rozumieć istotę rytmiki; nawet przycisk wyrazowy nie decyduje o wszystkiem. Słuszne są uwagi o niektórych poetach tegoczesnych, którzy myślą, że świat się dopiero od nich zaczyna i mają się za nowatorów czy twórców w dziedzinach dawno już zdobytych przez literaturę polską, nieraz już 400 lat temu... Wmieszanie się historyka literatury w te sprawy było rzeczą konieczną. Jeżeliby prof. Życzyński pracę swą kontynuował (ale już w nieco lżejszym stylu, przystępnym dla wszystkich) miałby wielką zasługę. (B.)

*

W dramacie Kasprowicza „Bunt Napierskiego", wydanym 35 lat temu, jest taka scenka, gdzie bohater tytułowy rozmawia z żydkiem Mojszem. Ów żydek, który jest „odważny" dopiero wobec związanego herszta pod koniec dramatu, przez cały poprzedni ciąg akcji kadzi mu ile wlezie, w te słowa przemawiając do zdobywcy Czorsztyna:

> Aj! Aj! Aj, jak nie przyleci
> ta moja Sura, jak nie wrzaśnie na mnie:
> Mojsze, ty głupi!... Co ci jest? ty nie wiesz,
> ty głupi Mojsze, że pomiędzy nami
> Jest sam Joszua, który nas obroni?
> On każe słońcu zatrzymać się w górze...

Tym Joszuą miał być pan Napierski, którego nazwisko rycerskie przybrał sobie p. Markus (Mojsze?) Ajger, autor kilku przereklamowanych pretensjonalno-nudnych tomików wierszy oraz czegoś, co ma być powieścią, a nosi tytuł „Rozmowa z cieniem". W tej powieści niema wcale akcji, są tylko mgliste ględzenia, pełne śmiesznych popisów tanią literacką „erudycją", w których raz po razu z pod lwiej skóry ośle ucho wyłazi. Ta pstrokacizna językowa, w której żaden język do siebie nie jest podobny, mocno przypomina żargon; być może, że p. Napierski jest tylko w tym języku nieco „tęgi". „Rasowość" autora, której nie zatrą żadne arcypolskie pseudonimy, uwydatnia się w skłonnościach do perwersyjnego erotyzmu i „latrynizmów", których nie należy oczywiście mieszać z „latynizmami", trafiającemi się tu i ówdzie w jego pretensjonalnym stylu.

Nawet w pornografji i próbach ekscentryczności jest p. Ajger przeraźliwie nudny; książkę jego można brać jako środek na wymioty po dwie stronice dziennie. Jedyną rozweselającą rzeczą w całej tej powieści jest zarozumiałość autora, który sobie wyobraża, że ma talent i że ogłasza światu coś nowego, wiekopomnego; w ten deseń jest wprowadzone jakoby pendant do owej scenki z dramatu Kasprowicza porównanie z Jozuem, co zatrzymał słońce. Dalibóg, chciałoby się powiedzieć nieraz tak, jak ta Sura mówiła Mojszemu... Jedyną bowiem więzią, łączącą p. „Napierskiego" z literaturą, jest czy było jego powinowactwo z Tuwimem, a pozatem pewne oczytanie, bardzo powierzchowne i bezkrytyczne. Nieraz bowiem podczas lektury jego książek ma się wrażenie, że wyszły one z pod pióra któregoś z tych trzeciorzędnych ultraromantyków niemieckich, których tak ośmieszył August v. Platen w swych komedjach. P. Napierski coś o tem powinien wiedzieć, bo właśnie wziął się do tłumaczeń utworów v. Platena, coprawda partacząc je niemiłosiernie...

(V. Q.)

*

Przed dwunastu laty niemało wrzawy zrobiło w Krakowie pojawienie się „Jednodniuwki futurystuw", której redaktorami byli „tszej najwięksi poeci futuryści". Młodożeniec, Czyżewski, Jasieński. Żądali oni „natychmiastowej futuryzacji życia", m. in. chodzenia na głowach i mieszkania w domach kulistych. Jakoś świat uporczywie widać przywiązany jest do przeszłości, skoro mimo „Noża w bżuhu" nie sfuturyzował się natychmiast i woląc *praesens* czy *perfectum* (*omne trinum*) od *futurum*, w myśl pasеistycznej może zasady „lepszy wróbel w garści", ani myśli przewracać swego trybu życia. W każdym razie czas potoczył się naprzód i owe rewolucje futurystyczne też same zaszły w przeszłość—*tempi passati*. Sami futuryści (do której to nazwy zresztą rościło sobie pretensje parę różnych grup literackich, nie licząc epigonów) spoglądają już na swoje lata wzięcia i popularności, jako na „epokę burzy i naporu", po której nastąpiła pewna stabilizacja — *sit venia verbo* — „klasycyzm" futuryzmu? W każdym razie przyszła i tu pewna ewolucja.

Czem był futuryzm w owej dawnej fazie? Czy naśladowaniem mody przyniesionej z Włoch, Francji i Rosji? Czy był uzasadniony jakąś wewnętrzną potrzebą społeczeństwa? W pewnej mierze objaśniać go można koniecznością silnej reakcji przeciw manierze ultracyzelatorskiej, przeciw mdłej poezji poprzedniego okresu. Wszak i niemiecki „*Sturm und Drang*" był taką reakcją na klasycyzm francuski i dochodził też do podobnej skrajności w propagandzie zupełnej swobody formy. Ale i nagłe ochłonięcie czy odprężenie po zamęcie wielkiej wojny przyczyniło się do owego stanu rzeczy. Był to rozgardjasz demobilizacyjny naszej literatury; roczniki starsze szły do domu, a młodsze były pełne ochotniczego, nieskoordynowanego entuzjazmu albo rekruckiego zielonogłowia. Wszystko śpiewało, jeden przez drugiego, co w danej chwili przyszło na język, bez namysłu, bez opamiętania, z rozmachem, nieraz rozbijającym się wzajemnie o głowy; wiele było kawałów i figlów, więcej nieraz niż prawdziwego zapału i czynu. Młodość musiała się wyszumieć, zwłaszcza, że nikt nie myślał jej krępować i więzić; nawet na seminarjach uniwersyteckich (prof. Chrzanowskiego) toczyły się gorące dysputy na temat futuryzmu i innych podobnych prądów.

Na ściśle, wypracowane, sformułowane teorje tych prądów przyszedł czas dopiero później. Były całe pisma, teorjom tym, zmiennym zresztą, poświęcone; widać rozumiano potrzebę oparcia się o jakiś trwalszy fundament. Twórczość futurystów zrzadka dawała już znać o sobie. Bywały w niej i rzeczy zasługujące na uwagę, mające wartość niezaprzeczoną; snadź z chaosu pierwotnego wyłaniać się poczęły żywioły. Ale trudnoż wszystkie zasługi w tem kłaść na szalę futuryzmu. Dzieła wartościowe powstawały i powstawać będą wszędzie, bez zależności od takiej czy innej recepty twórczej, czy szkoły, czy mody. Nie należy ulegać reklamiarskim sugestjom kolektur loterji, głoszących: „tylko u nas wygrasz los szczęśliwy".

Stanisław Młodożeniec, wydając swój tomik („Futuro) — „Gamy i pejzaże" nawiązuje w przedmowie do owych wspomnianych czasów "burzy i naporu" i żeby tę łączność silniej zaznaczyć, zamieszcza na początku książki szereg utworów ówczesnych. Ale obok nich są utwory nowe, z lat ostatnich. „Arką przymierza" między dawnemi i nowemi laty ma być futuryzm. Jest on niewątpliwie widoczny i w tych utworach nowych — w ich rozmachu, swobodzie słowa, wiersza, niskrępowania się syntaksą, w przewadze wykrzykników, słów „mocnych". Ale między dwoma fazami twórczości Młodożeńca jest też i różnica. Gdy dawniej „ramieniało całe miasto", teraz ramieniem swem objęła poetę wieś rodzima, mocno przezeń ukochana i odczuta, choć on sam liryzmów wszelkich się wystrzega i od siebie samego żadnych wywnętrznień serdecznych niemal nie daje. Zdawałoby się, jakoby interesowały go raczej kwestje czysto-

formalne: onomatopeje (stuk cepów podczas młócki) i wrażenia ruchu. W głośnem czytaniu i deklamacji utwory te są zrozumialsze (nieraz bardzo efektowne) niż podczas czytania wzrokiem. W tym względzie jest tu pewne podobieństwo z pieśnią ludową, która — poczęta doraźnie, pod wpływem takiego lub innego humoru — nieraz zrozumiała jest też tylko w śpiewie, i to przy odpowiednim nastroju. Pamiętamy, jak u Słowackiego Pamfilus określa pieśń ludową Beniowskiemu: „Są takie n o n s e n s a, z których może złożyć się Iljada". Określenie to o tyle nietrafne, że epik musiałby mieć wiele czasu i cierpliwości, by z takich szkicowych obrazków zszywać epopeję. Już pogrzebaniu uległy teorje Niemen-Wolffa. Pieśń doraźnym potrzebom służąca najczęściej doraźnie tylko wzrusza, a potem odchodzi w przeszłość. (J. B).

*

Książka A d o l f a R u d n i c k i e g o „Żołnierze" (wyd. Tow. „Rój")) budzi dziwne refleksje. Zastanowić się nad nią głębiej musi czytelnik: bo choćby tu i ówdzie dostrzegało się pewne literackie reminiscencje — Remarque'a, a w większym jeszcze stopniu z „Martwego domu" Dostojewskiego — to jednak podkład zasadniczy tej niby — powieści wzięty jest niewątpliwie z życia, z bystrych i rożnorodnych obserwacyj samego autora. Jedności akcji to właściwie niema — może nawet wogóle o akcji mówić tu nie można; natomiast spoiste jest to dzieło dzięki surowej jedn ści czasu i miejsca. Są to notatki osobistych może przeżyć autora w koszarach artylerji w fortecy (zapewne w Modlinie) podczas służby rekruckiej. Koszary forteczne — zwłaszcza te, które pozostały po Rosjanach — nie mają miłego wyglądu i pobyt w nich niezbyt jest przyjemny. To prawda. Prawda też, że pomimo istniejących zakazów, podoficerowie obchodzą się z żołnierzami często brutalnie, naśladując w tem wzory, przyniesione z armij zaborczych, zwłaszcza austrjackiej. Może jednakże niewszędzie taki jest stosunek ich do rekrutów, jak w środowisku, przedstawionem przez Rudnickiego, gdzie ogląda się prawdziwe ekscesy mentalnego i psychicznego zbydlęcenia. Oskarżenie, przez autora rzucone, tem większe może budzić wątpliwości, że autor jest pochodzenia żydowskiego i zataja swe właściwe nazwisko pod polskim pseudonimem. W przeciwieństwie do podoficerów, oficerowie przedstawiają się w książce Rudnickiego sympatycznie; są kulturalni, dobrotliwi, ale — niebardzo wnikają w sprawy wewnętrzne, zdając niemal wszystko na podoficerów. (BI)

*

Ostatniemi laty daje się u nas zauważyć wielkie ożywienie na tej zaniedbanej przez czas jakiś niwie literatury jaką jest kaznodziejstwo kościelne. Wprost można mówić teraz o „s y s t e m a t y c z n e j pracy w kierunku jak najlepszego wykształcenia polskich kaznodziejów. Przedewszystkiem przyswojono już lub przyswaja się właśnie piśmiennictwu polskiemu we wzorowych przekładach dzieła „klasyków" wymowy kościelnej. W cennej serji „D z i e ł O j c ó w K o ś c i o ł a" (Poznań, księg. Jachowskiego) przygotowane już są mowy ś. Grzegorza z Nacjanzu oraz znakomite „Homilje o posągach" Jana Chryzostoma. Księgarnia ś. Wojciecha rozpoczęła wydawnictwo „Skarbca mistrzów kaznodzinjstwa", otwierając tę serję „Wyborem pism kaznodziejskich" Bossueta w przekładzie i ze znakomitą przedmową ś. p. Paciorkiewicza (rzecz tę omawialiśmy przed dwoma laty). Na własną rękę poszedł ks. Ferdynand Machay, polszcząc dzieła kaznodziejskie Tihamera Totha. Dostaniemy podobno wkrótce przekłady dzieł Newmana, Massillona, Taulhabera... i zbiory kazań mistrzów polskiego kaznodziejstwa.

I to nietylko dawnych, choć przedewszystkiem o nich wartoby pomyśleć w zbliżającą się 400-ną rocznicę narodzin ks, Skargi; przecież dotąd właściwie nikt nie opracował należycie dziejów polskiego kaznodziejstwa... Ale tym razem myśli się głównie o współczesnych kaznodziejach. Niedawno omawialiśmy zbiór kazań ks. Kłosa; wślad za niemi mają się w nakł. Księg. św. Wojciecha ukazać kazania arcbp. Teodorowicza i biskupa Szlagowskiego. Pozatem godne są uwagi niektóre inne nazwiska, mniej dotąd znane. Żywością i przystępnością zaleca się zbiór p. t. „*Audi filia*", którego autorem jest ks. A. 'Miguda, Poznańczyk. Kazania, tu zawarte, zwrócone są do starszych gimnazjalistek; wygłoszone były naprawdę wobec tego audytorjum, do którego trafia się nie suchemi morałami i nie wyniosłą erudycją, ale przedewszystkiem serdecznością. Ta serdeczność i bezpośredinność pozostała nawet w drukowanej książce; czytając którekolwiek z tych przemówień, możemy sobie doskonale wyobrazić i ową szkołę i okoliczności, w jakich było ono wygłoszone. Ten koloryt lokalny wcale nie przeszkadza, że książka może wszędzie znaleźć czytelników (B. J.)

*

Po wielu drobniejszych szkicach i rozprawkach, nieraz b. cennych, dr. M. P i s z c z k o w s k i napisał rozprawę większą p. t. „Moraliści staropolscy" (Lwów, Książnica - Atlas), której dotąd ogłosił tom pierwszy. Jej zasadnicza osnowa już się rysuje w tym tomie. Oparł ją autor na fundamencie rozważań teoretycznych, może trochę za obszernych w stosunku do samego wątku historyczno literackiego, zaznaczonego w tytule książki. Obok m o r a l i s t ó w we właściwym sensie tego wyrazu („moralistyków") wyróżniono tu m o r a l i z a t o r ó w; u pierwszych na planie głównym stają względy artystyczne, estetyczne, literackie; u drugich samo moralizowanie, więc gromienie wad i sławienie cnót; pierwsi są malarzami życia, drudzy „kaznodziejami" — oczywiście w potocznem, codziennem, może ujemnem znaczeniu. Oczywiście metoda to różna; w różnych wypadkach raz ta, drugi raz tamta bywa skuteczna; co ważniejsza, łączą się z tem i różne usposobienia samych twórców. Poglądowo tę rzecz wyjaśnia Piszczkowski na przykładach Reja i Kochanowskiego, którym poświęcił lwią część właściwej swej rozprawy. Niewiadomo, co będzie w tomie II tej pracy, alo zdaje się, że autor utrudnił sobie sytuację, spiętrzywszy w zakończeniu tomu I stos dosyć dorywczo zebranych nazwisk z literatury staropolskiej od XVII — XVIII w., tak iż praca wydaje się już zakończona. W każdym bądź razie obecne prace d-ra Miecz. Piszczkowskiego świadczą, że już z labiryntu, przez siebie samego wybudowanego, zdołał się wyswobodzić. Pełne jasności i samodzielności szkice o Żabczycu, a ostatnio tęga odprawa dana O. Górce, świadczą, że po terminowaniu w różnych szkołach młody ten badacz znajduje sobie drogi własne. (B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WRAŻENIA WAKACYJNE

WRACAM ZE SZCZAWNICY, w Warszawie nie zdążyłem się jeszcze rozejrzeć, więc materjału do feljetonu oczywiście niewiele. Pozwólcie przeto, że rozmarzony (chwilowo) letniem nieróbstwem, uczyni z dzisiejszej pogawędki coś w rodzaju sałatki, w której wszystkiego się znajdzie potroszę.

Dziewczęta szczawnickie (byłem tam nieraz) na codzień chodzą „po cywilnemu", strój góralski przywdziewając jedynie w niedziele i święta. Otóż może dlatego, że związało się z nim pojęcie przyodziewku odświętnego, a więc ładniejszego, eleganckiego", nie grozi mu rychłe zarzucenie. Spódnice noszą tu z materjałów t. zw. krakowskich, drukowanych fabrycznie, a gorseciki haftowane. Te właśnie gorsety najbardziej są godne uwagi, bo w nich tkwi jeszcze tradycja pięknej ludowej sztuki haftu. Po wzorach się rozpoznaje, który starszy, a który nowszy, bo w nowszych z reguły obserwujemy skłonność do naturalistycznego traktowania ornamentu, gdy tymczasem w dawniejszych, poszczególne płaszczyzny kwiatów i liści były różniczkowane jedynie przy pomocy odmiennych ściegów. Dawny wzór był więc płaski, jak wszystkie stare piękne hafty; nowy dąży do nadania kwiatom złudzeń perspektywicznych, cieniując na wypukło. Nie trzeba dodawać, iż takie traktowanie haftu jest całkowicie sprzeczne z zasadą ornamentacyjnej dekoracji na płaszczyźnie materjału.

Otóż w tym roku zauważyłem dalsze odstępstwa od dawnych dobrych tradycyj. Zjawiły się mianowicie na wielu gorsecikach bardzo brzydkie, buraczkowego koloru, róże, haftowane w sposób jakiegoby się nie powstydziła (choć powinna), wychowana na najgorszych wzorach, hafciarka miejska. Te róże wypukłe, „jak żywe" podobają się i ani chybi w niedługim czasie zapaskudzą resztę gorsecików. Trudno temu przeciwdziałać, zwłaszcza, gdy rozrostowi zła sprzyja pewna cecha naszego ludu, dość pospolita, choć, zdaje się przez miło-

śników sztuki ludowej przeoczana. Otóż lud nasz— o czem się często mówi — ma wrodzone poczucie piękna, lecz jest zarazem w wielu wypadkach bezkrytyczny. Brak mu krytycyzmu nie w stosunku do własnej twórczości (jest przeświadczony o słuszności swego ujęcia rzeczy, choć nieraz może nie umiałby tego uzasadnić), lecz wobec tworów, które otrzymuje od innych. Cieśla wiejski sam wytnie drzeworyt, niepozbawiony wielu wartości estetycznych, ale podarujcie mu brzydką chromolitografję — będzie mu się także podobała. A zdawałoby się, iż jedno powinno drugie wykluczać. Dziewczyna wiejska haftuje nieraz z wielkiem wyczuciem materjału i techniki; dajcie jej b. brzydki wzór „miastowy" w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto powie, że to śliczne. A przecież ten brzydki wzór przeczy logice jej własnego wzoru!

Taksamo jest z gorsecikami. Możnaby w pewnej mierze zaradzić złu i wydaje mi się, że niewielkim kosztem. Myślę o czemś w rodzaju rokrocznych konkursów z nagrodami na najpiękniejszy gorsecik i t. p. Podniętą byłaby ambicja i chęć wyróżnienia się oraz możliwość otrzymania nagrody. Nagradzaniem wzorów naprawdę najlepszych zwróciłoby się twórczość ludu w tej dziedzinie na właściwą drogę. Oczywiście, przy dzisiejszym stanie rzeczy, trzebaby nieraz wzory podpowiadać, sięgając do najlepszych przykładów przeszłości. Rozmawiałem w Szczawnicy z pisarzem, Janem Wiktorem, gorącym miłośnikiem Podhala. Przyznał mi się, iż nieraz myślał o tem. W dzisiejszych czasach trudno jednak fundować podobną nagrodę z własnej niezbyt zasobnej szkatuły. Możeby towarzystwa regjonalne: Tow. Przyjaciół Podhala" i inne pomyślały o zorganizowaniu takich konkursów. Jeśli lud z własnej chęci zachowuje dawny strój trzeba mu pomóc, by trwał w najpiękniejszej postaci.

Druga sprawa, mniejszej już wagi, również leży mi na wątrobie. W każdej takiej miejscowości istnieją sklepy sprzedające „pamiątki"; pamiątki ze Szczawnicy i t. d., w postaci różnych drobnych przedmiotów: pudełek, piórników, popielniczek, talerzy, albumów i t. p. Ozdoby tych przedmiotów (zwykle ornament cięty dłutem na powierzchni drzewa) są niby to oparte na motywach miejscowych, ludowych; w istocie stanowią jednak (zwykle) tych motywów najdoskonalszą karykaturę. Z roku na rok jest coraz gorzej. Kilka lat temu widziało się jeszcze nieraz, w Szczawnicy, całkiem znośne przykłady takiego zdobnictwa, głównie z motywów geometrycznych wyprowadzonego, teraz trudno się takiej rzeczy doszukać, choćby neutralnej, pod względem estetycznym. Panują niepodzielnie widoczki cięte i malowane, takież głowy górali, kwiatki pachnące kryminałem. Podobno „goście" tego żądają. W bardzo wielu dziedzinach wytwórca narzuca publiczności swoje wyroby w takiej postaci, w jakiej uzna za stosowne (np. w dziale konfekcji), tylko w zakresie „pamiątek artystycznych" uwzględnia się rzekome upodobania klijentów, tu właśnie, gdzie powinno się ich wychowywać!

Cenzura i kontrola podobnych wyrobów prywatnej produkcji byłaby oczywiście bardzo trudna, często prawie niemożliwa, temniemniej pożądana, dla dobrej sławy miejscowości, z której przedmiot ma być pamiątką. Rzeczy te rozchodzą się po całej Polsce, trafiają do rąk cudzoziemców, stają się rozsadnikiem złego smaku i wyrabiają wręcz fałszywą, a więc krzywdzącą, opinję sztuce, której rzekomo są dziecięciem.

Wracając do Warszawy, zatrzymałem się w Krakowie. Zaszedłem do Domu Matejki. Rozglądając się wśród pamiątek, zgromadzonych po Mistrzu, doznawałem różnorakich, często wręcz odmiennych, wrażeń. W długich gablotach leżą przeróżne dyplomy i adresy, otrzymane przez Matejkę od miasta, uczelni młodzieży, cechów i t. d. Górnolotność stylu tych adresów dziś już trochę śmieszy. Zwroty: Mistrzu nad Mistrze, zawsze z wykrzyknikiem, widzimy w nagłówkach wielu tekstów. A już szata graficzna tych dyplomów, przeróżne na nich ozdoby i ozdóbki, są klasycznym i niezastąpionym przykładem straszliwego upadku smaku końca XIX-go stulecia!

Z innem zupełnie uczuciem podchodzę do narzędzi pracy artysty. Ciekawość fachowa miesza się napoły ze wzruszeniem. Oto paleta malarza, oto wyciśnięte tubki farb. Na palecie zwraca uwagę olbrzymia ilość przeróżnych żółtych i ugrów. Żółta Neapolitańska. Tego dziś prawie nikt nie używa. Pod szkłem gablotki, w przegródkach leży mnóstwo tubek. Matejko malował wielkie obrazy, a tubki po farbach są małe, malutkie, jak z kompletów w pudełkach dla amatorów. Nachylam się nad gablotą i mówię sobie: patrz, z tych tubek, zwyczajnych tubek po parę złotych, Matejko wycisnął Grunwald, Kazanie Skargi, Batorego pod Pskowem... Czyż to nie jest cudowne?

WIKTOR PODOSKI

NOWE KSIĄŻKI

Kobylińska Eugenja. Świat w szkole. Pamiętnik nauczycielki. Wilno 1934. L. Chomiński.

Kobylińska Eugenja. Złote schody. Powieść. Wilno 1934.

Gilowska Wanda. Dziewczyna z Chicago. Powieść Lwów 1934. Bibl. kresowa.

Gilowska Wanda. Meru Ochwat. Powieść. Lwów 1934. Biblj. Kresowa.

Bieniasz Józef. Korporanci. Powieść. Lwów 1934. Biblj. Kresowa.

Korzeniewski Bohdan. „Drama" w warszawskim teatrze Narodowym podczas dyrekcji L. Osińskiego, 1814 — 1831. Warsz. 1934. Skład gł. w Kasie im. Mianowskiego S. 118.

Norwid Cyprjan. Dzieła. Wydał, objaśnił i wstępem krytyczn. poprzedził Tadeusz Pini. Z 40 ilustr. i 5 autogr. Warsz. 1934. Nakładem Spółki wyd. „Parnas Polski". S. 648 dwu szp. (w oprawie).

Mocarski Zygmunt. Książka w Toruniu od r. 1793. Zarys dziejów. Toruń 1934. Nakładem Zarządu Miejskiego. S. 127.

Tync Stanisław. Szkolnictwo Torunia w ciągu jego dziejów. Toruń 1934. Zarząd m. Torunia. S. 40.

Chmarzyński Gwido. Sztuka w Toruniu. Zarys dziejów. Toruń 1934. Zarząd m. Torunia. S. 76.

Rosenberg Artur. Historja bolszewizmu od Marksa do doby obecne. Warsz. 1934. Wydaw. Nowocz.

Krzyżanowskj Juljan prof. dr. Romans polski wieku XVI. Z 67 ilustr. w tekście i 27 tabl. Lublin 1934. Tow. Przyj. nauk w Lublinie. Skład w Domu Ks. Pol. Str. 286.

Podoski Juljan. W pościgu za słońcem Lewantu. Na „Polonji" do Ziemi Świętej. Warsz. 1934. S. 100 z ilustr.

Szyperski Alfons Mowa zapomniana. O archaizmach w Wielkopolsce. Środa 1934. S, 24.

Rebreanu Lizin. Las wisielców. Przełożył z rumuńskiego St. Łukasik. Kraków 1931.

Prozaicy rumuńscy. Nowele i szkice. Z przedmową M. Jorga. Warsz. 1931. Bibl. Tyg. Ilustr.

Rosental S. *La révision du Traité de Trianon est-elle possible?* Paris 1934. Plon.

OFENSYWA

GRIADUSZCZYJ CHAM

PO CZERWCOWYM zlocie Pen-klubistów w Edynburgu znów się żydy zjechały masowo w Moskwie. O czem ta *vermine* tak ciągle radzi i radzi? *Chi paga*? (*Kto bude zahlowat*?).

Tym razem niby zjazd sowieckich literatów, wszechświatowy. Oczywista, na sam szczyt, na front, posadzili Europejczyka. Tym razem atoli okropnie wschodniego. Dla niektórych to wielki autor i autorytet bo są jego imienia pancerki i aeroplany. Dla niektórych znów to autorytet żaden. Ot, naturalista, realista, Zolista i zoologista drugiej rangi, znacznie poniżej nie już Zoli ale nawet Zapolskiej. Tyle, że sobie dobrą nową kopalnię ten autor wynalazł (*bradiagi*, Krym, Wołga) i wyeksploatował.

Najlepsza stosunkowo rzecz, to sztuczka pt. „Na dnie", gorsza od swego czasu granych w Krakowie podobnych sztuk Sawickiego lub Szutkiewicza. Zrobiło karjerę „Na dnie" dzięki temu, że odkryły to i zaopiekowały się żydy berlińskie, obdarzone genjalnym węchem odkryć. Gdyby „Popychadłem" przedtem zajęły się żydy berlińskie, z Gorkim byłoby gorzej. Byłby sobie „jeden z wielu", jakich w carskiej Rosji był tuzin. Duży talent, ale bez żadnej inteligencji, intelektualny prymityw na poziomie Wańki-Wstańki. Jako Cham..., jako symbol „*griaduszczego* chamstwa", olbrzymi i imponujący.

Wobec Bierdiajewa czy Rozanowa poprostu... *dienszczyk*. Wobec Dostojewskiego... *izwoszczyk*. Turgeniew czy Puszkin po jego wizycie kazaliby pokoje wywietrzyć. Tołstoj rozgaworzył się z nim i fotografował, ale bo też stary hrabia był kabotyn i de-Magog pierwszej klasy choć dobrej rasy. Kilka nowelek też się Gorkiemu udało. Powieść żadna. Trzydzieści tomów w spadku najnormalniejszej makatury (*kaczestwa*), śmierciarstwa. Za lat dziesięć nikt tego już do ręki nie weźmie, ani sobie pod nogi nie postawi. A Kryłow zawsze. A Gogol zawsze. I Szczedryn zawsze!

Taka to znakomitość (*griaduszczij* cham w kwadracie) prezydowała zjazdowi literatów sowieckich, na którym najtęższych piór n i e było. I taka znakomitość (klasyk dla hołoty) przemawia dwukrotnie. W czerwcu Gorkij plugawił, sromosłowił i rugał od *matuszki* piśmiennictwo sowieckie. W sierpniu zaś podnosił je pod stratosferę i plótł Stary Skrybeusz, że „cały świat" patrzy z „zapartym oddechem" *(sic)* na ten zlot, kapitalisty zaś pono dygotają ze strachu co to za idea z tej kupy genjuszów na ich zatratę wyjdzie. Trzeciej mowy już gaduła osławiony z gadulstwa i bredzenia nie wygłosił. A szkoda, bo był powinien. Trzecia mowa bowiem mogła mieć w temacie supremację *jewrejew* na kongresie. W pewnej chwili Gorkij powinien był rozglądnąć się po sali i po swojem otoczeniu na estradzie, wstać, chrząknąć, poprosić o głos prezesa, swego następcy (Fadiejewa) i zacząć swoim schrypniętym głosem: „Dopiero teraz kochani towarzysze spostrzegam, że tu, w stolicy nowej Rosji na kongresie jej pisarzy przeważają (j. w. mat) same *jewreje*... Dopóki tedy połowa *swołoczy* nie wyjdzie ze sali i nie przestanie zasmradzać tu powietrza proponuję obrady przerwać"... Tak powinien po raz trzeci zabrawszy głos przemawiać do kongresu Maksym Gorkij. Tego atoli nie zrobił. Nie zrobił zaś z powodu „*griaduszczego chamstwa*", znaczy się z *rabstwa*. *Rabów* nie wstydzi bowiem, że rządzą nimi teraz *jewreje* jak nie wstydziło się dawniej, że rządziły Germany, Kurlandy, Normandy. Róża się rumieni, ale r o ż a się nie rumieni z hańby, że prezyduje żyd (Fadiejew) a dokoła pyskują, wrzeszczą i się „ważniczynią" *jewreje*, a po ławach w amfiteatrze siedzą rzędami zabukane, zagłuszone, potulne, ciche, skromne *pisatiele*, wśród których niejeden z mózgiem bezsprzecznie, bezdyskusyjnie genjalnym. Ale *raby*! Ale całymi generacjami chłopskie syny, w niewoli i pod batem chowane, więc jeszcze nadal bezambitne.

Nie mierzi ich, nie wstrząsa obrzydzenie, że na estradzie prezydjum żyd przy żydzie siedzi i żydem pogania. Nie elita to więc, a czereda, a raczej *Tchandala* (Nietzsche). I *Tschandala* czyli czerń urządza owację naszemu staremu warszawskiemu „Robespierowi z Udziałowej" Feliksowi Kohnowi. I *Tschandala* urządza spontaniczną owację obskurnemu Gelpbandowi (onże „Jarosławskij") za „wypędzenie Pana Boga" ze Związku Republik Radzieckich. I *Tchandala* słowiańskich „*głowotiapów*" utalentowanych, a niekiedy genjalnych niewolników bije brawo każdemu Zweigowi i Rozenzweigowi co włazi na estradę i pod-judza na chrześcijan. Megaloman Pieszkow ze zwapniałym mózgiem siedzi na swoim tronie i syty sukcesów i oklasków drzemie i chrapie. Doczekał się, że jego imienia są samoloty, pancerniki, szpitale, fabryki, szkoły, czołgi, nawet miasta. I to mu wystarcza. A to, że z prawej jego strony siedzi Bornstein, a z lewej Litwakow, ze w imieniu Czuwaszów przemawia *jewrejczyk* Zołotow, a w innem Mordwy inna mordwa rytualna, że Tadżikistan... reprezentuje parszywiec, a Perec Markisz kłóci się teraz właśnie na głos z Purycem Margoliczem, to Gorkiemu *wsio rowno* i *naplewat'*. Waregowie zawsze muszą tu być. Raz były Niemcy, a raz *jewreje*.

Kongres pisarzy sowieckich trwał pięć czy sześć dni. Przemawiało bardzo wielu. Prawdy choć 50-procentowej nie powiedział ani jeden ani jednej. Nie zabrał głosu ani Afimogenow, autor „Strachu", ani autor „Rodziny Turlimych", ani zrugany niedawno i odstawiony Borys Ławrenjew, ani biedny Sergjusz Wasiljew, który w czerwcu splugawiony przez archimogoła Pieszkowa musiał się upokorzyć, „ukajać" i buty mu *coram publico* polizać. Natomiast praworządne, żandarmskie „*Gischl*'oskie", dworskie lizusy („Mieszkowy" ze znanej powieści) pyskowały co się wlezie kadząc Kaganowiczom i Kajdanowiczom. Biła pokłony i padała w proch pomywaczka Sejfulina, a tarzał się po ziemi i walił głową o stopnie estrady Selwinski. Po tym genjalnym arysparchu nie zabrali już głosu ani Gincburg, ani Brojde. Pierwszy (autor Eposu o „*Socjaliticzeskim Stroitielstwie*") siedzi bowiem w kryminale, skazany na dwa lata. Drugi zaś autor plugawiącej nas „W niewoli u białopolaków" też siedzi w kryminale skazany na dwa lata. Obaj za to, że porośli w pierza *(putiowki)* i w sławę, sami nie pisząc, a eksploatując talent Lubicza-Koszmirowa, któremu pisać nie było wolno, bo zgrzeszył nieprawomyślnością i „odchyleniem" od „generalnej" liuji (zyg-zag).

O tem wszystkiem na kongresie nie mówiono. Ani o Auerbachu i Litwakowie. Ani o Majakowskim i Jesieninie. Ani o samobójstwie ukraińskiego poety Chwilowyja. Ani o tem, że 30 pisarzy ukraińskich siedzi w *tiurmach*. Ani o definitywnej atrofji twórczości dramatycznej i konieczności wzuawiań w teatrach autorów burżujskich. No i o tem też nie mówiono, że świetna, bo świeża do niedawna proza sowiecka powieściowa zaczyna wychodzić na świecie z... mody, bo się zaczyna powtarzać, jest monotonna, doktrynerska, służbista, lokajska, liberyjna; teren zasięgu państwowego posiada olbrzymi, więc i egzotyzmów moc; ale już widać... piaski; *semafordyzm* proletarjacki zaczyna być nudny

Dopiero gdy z proletarjackiego zacznie się zmieniać na proletaryjski (...aryjski), znów m o ż n a z tem będzie sympatyzować. Tak jak teraz się tam przedstawia, to to jest stusześćdziesięciomiljonowa czerń pędzona i batożona przez obrzezanego Dżingis-Chama-*Griaduszczego*. Nic więcej.

Mówiono też na kongresie i o nowym języku autorów sowieckich. Gorkiemu w czerwcu nie podobał się język Pauferowa jakoże za... ordynarny. Z tem mniejsza. Gorsze są skróty. Jednemu z tych literatów sowieckich popsuł się zegarek. Poszły tedy żydy gromadą na Twerską; Altschiller, Oplender, Godiner, Pfefer, Kwitko (*sic*), Wiewiórka (teoretyk neo-dramaturgji).

Szyld zegarmistrza tak wyglądał:

„*Uczebno-priozwodstwiennyj kombinat Nr. 3. Mosobtsowieta O-wa Drug Dietej. Czasowaja i opticzeskaja masterskaja Nr. 2*".

Drugi literat, będący w gościnie „słynny" Opatoszu chciał kupić sobie zeszyt, aby spisywać wrażenia z tej zganianiny żydów wschodnich.

Sklep miał szyld:

„*Otraslewoje, M. S. P. O. Objedinienje Moskoopkult*"...

Po drodze chciał Opatoszu zafundować Stefanowi Zweigowi szklankę typowego rosyjskiego kwasu.

Kiosk miał szyld:

„*Mosobłkoopintorg. Dzierżinsko-Octiabrskij rajtorgin*"...

Nic dziwnego, że po tym szyldzie, po tym kwasie i po tym... kongresie obaj potem pojechali z Potemkina Sowieckiego do... Rygi i z powrotem do Europy.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Oto jak żydzi kładą podwaliny pod konstytucję Judeo-Polski. „Czas" podjął się (ciężkie czasy!) bronienia żydowskiej polityki sanacyjnej w ten sposób:

„Zwalczamy antysemityzm w imię pokoju wewnętrznego i w imię utrzymania nowoczesnych, zachodnich form ustrojowych, w imię wreszcie katolickiej etyki, która bezsprzecznie nie da się pogodzić ani z rasowemi doktrynami, ani z nienawiścią rasową: samo istnienie w diasporze ludności żydowskiej jest potwierdzeniem prawdy zapowiedzi P i s m a Ś w., a wreszcie dla każdego czytelnika Ewangelji związek pomiędzy n a s z ą r e l i g j ą i ż y d o s t w e m j e s t c a ł k o w i c i e j a s n y i nieulegający żadnej wątpliwości":

Odkądże to masoński „Czas" stał się tak gorliwie katolickim tłumaczem Pisma Świętego?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM